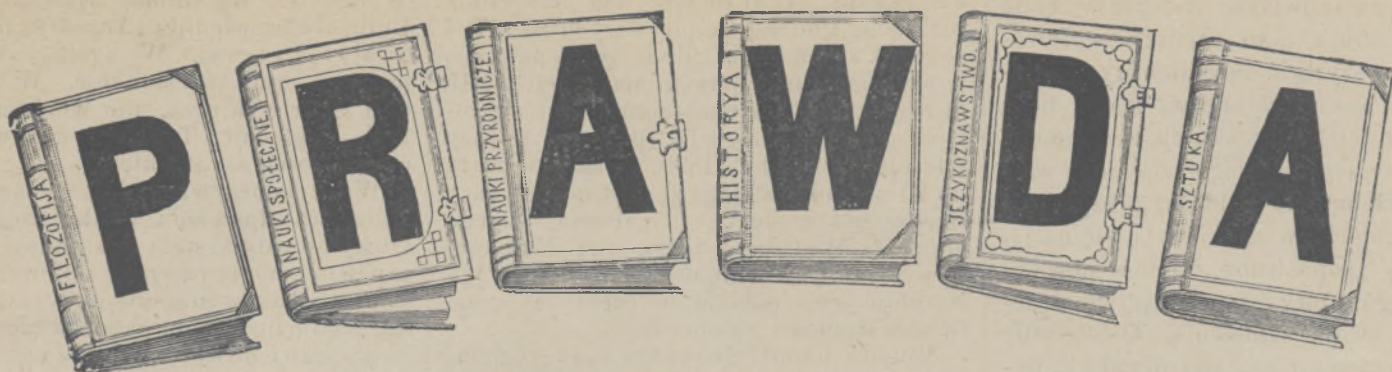
Nr. 27. Warszawa, dnia 7 Lipca (25 Czerwca) 1894 r. Rok XIV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2. k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.



NOWY PREZYDENT.

Jakkolwiek nowy prezydent Rzeczpospolitej francuskiej jest cyfrą w rachunku politycznym dość nieokreśloną, trudno oprzeć się chęci wprowadzenia go w jakąś kombinacyę przypuszczeń. Cóż bowiem o nim wiadomo? A więc naprzód wiadomo, że jest wnukiem głośnego bankiera i ministra z czasów Ludwika Filipa. To pochodzenie ma swoją dużą wagę. Potomkowie dziedziczą po przodkach nietylko majątek, wygląd zewnętrzny i rysy charakteru, ale także tradycye. Sławne rody prawie zawsze pielęgnują w swej historyi pewne ideały. Jedne usiłują przechować w swych członkach bohaterstwo, drugie — pobożność, inne — prawość itd. Sadi-Carnot nie posiadał zdolności swego dziada, a jednakże przypominał go wysoką czystością moralną. Jest to główna cnota Carnotów. Inną duszę posiada szczep Périerów. Zauważyć to łatwo, że wszyscy protoplaści rodów dorobkiewiczowskich, którzy zdobyli wielkie fortuny i wysokie stanowiska, odznaczają się usposobieniem twardem, rozkazującem, zuchwałem, absolutystycznem. Łagodne jagnię ani nie zrobi luidora z franka, ani nie wyzyska ludzi i rzeczy na swą korzyść, ani nie sięgnie po władzę ręką zdobywczą. Na to potrzeba całkiem innej natury — jaką był właśnie Casimir-Périer dziad, człowiek, który wszystkie przeszkody na swej drodze miażdżył, gdy mu sił starczyło. Również dostrzedz łatwo, że parweniusze skłaniają się zwykle w polityce ku liberalizmowi, dopóki na tyle nie utrwalą się w swoich posadach, że mogą sobie pozwolić na konserwatyzm arystokratyczny. Pierwszemu bowiem zawdzięczają oni, jeśli nie drogę do majątku, to drogę do władzy. Ale ten liberalizm nie może być skrajny, lecz musi być umiarkowany, stanowić „juste milieu," któryby nie prowadził na żadne manowce i awantury, a nadewszystko nie zdejmował wędzidła żywiołom burzliwym. Takim liberałem, twórcą „sprawiedliwego środka" był Casimir-Périer, dziad. Do pieniędzy i teki ministeryalnej doszedł przebojem. Dawno przed Bismarkiem umiał on w Izbie krzyknąć na deputowanego, jak na żaka, który odezwał się bez pozwolenia nauczyciela. Rozpocząwszy od zalotów około demokracyi, skończył na zupełnem sterroryzowaniu jej. Był on wcieleniem zdolności, siły i ambicyi potentata mieszczańskiego, który wierzył w moc bogactwa, ale wywalczał dla niego prawa wyjątkowe. Było to zjawiskiem zupełnie naturalnem, że potomkowie wzorowali się na swoim sławnym protoplaście, że pragnęli odtworzyć i uwydatnić w sobie rysy jego charakteru, przechować i rozwinąć jego zasady. Najwymowniej świadczy o tem fakt, że do nazwiska rodowego jako stały dodatek przyłączyli jego imię, mianując się *Casimir-Périerami.*

Teraźniejszy prezydent Rzeczpospolitej chce również być podobnym do swego dziada i o ile mu zdolności i warunki pozwalają, rzeczywiście nim jest. Przypomina on go swą dumą plutokratyczną, umiłowaniem „sprawiedliwego środka," stanowczością zdania, odrazą ku demokracyi skrajnej, słabością dla książąt pełnej krwi (gdy w Izbie uchwalono ustawę, pozbawiającą członków domów panujących prawa do służby państwowej, przeszedł do opozycyi i złożył mandat). Jeżeli chodziło o zasady i uczucia, to Francya, a raczej jej żywioły hegemoniczne, nie mogły zrobić lepszego wyboru. Im właśnie potrzeba było człowieka tej barwy, któryby umiał jedną ręką kiełznać arystokracyę spiskującą przeciw obecnej formie rządu, a drugą demokratów, spiskujących przeciw obecnemu ustrojowi społecznemu. Do spełnienia tych dwu zadań Casimir-Périer jest jak najzupełniej odpowiedni, chociaż nie należy zapominać, że po nim największą liczbę głosów otrzymał Brisson, kandydat radykałów, że więc walka z tym wrogiem będzie dla niego bardzo ciężka. Inaczej wszakże przedstawi się położenie, jeżeli w niej rozważymy naturę nowego prezydenta. Godność ta zawiera w sobie najostrzejsze sprzeczności. Konstytucya bowiem określa ją jako najbierniejszy z urzędów, pozbawia prawie zupełnie woli, inicyatywy. Jak tu wyjaśniliśmy poprzednio, prezydent Rzeczpospolitej francuskiej ma być tylko biernym wykonawcą ustaw i rozkazów narodu, objawionych przez parlament, nie wolno mu nic ważnego ani przedsięwziąć, ani zrobić samodzielnie, nie wypada mu nawet przyznać się do zasad żadnego stronnictwa. Z drugiej strony naród wymaga od tegoż skrępowanego i ubezwłasnowolnionego prezydenta genialności, energii, wyraźnego programu, stanowczych kroków. Carnot umiał się dopasować do wymagań konstytucyi, Périer odpowiada poniekąd życzeniom ogółu, ale jak on spełni drugie, nie naruszywszy pierwszych? Oto jest zagadka, w której naszem zdaniem kryje się nasienie wielu późniejszych zawikłań. Jedno z dwojga: albo nowy prezydent zechce naśladować swego dziada i dogadzać swojej naturze i wtedy wejdzie odrazu w starcie z organami rządu i przedstawicielstwa narodowego, albo wstąpi w ślady swego poprzednika i wtedy będzie żył w zgodzie z parlamentem i ministrami, ale rozczaruje ogół. Tu Scylla i Charybda — przepłynąć między niemi niepodobna. Ku której zwróci swą łódź Casimir-Périer? Wnosząc z tego, co o nim wiemy, z logiki natur ludzkich, z rozstroju i rozkładu wewnętrznego Francyi, przypuszczamy, że on zapragnie być czemś więcej, niż zwierciadłem, odbi-

jającem cudze oblicza, wyjść nieco z bierności swego stanowiska, wstąpić w życie polityczne kraju jako czynnik wpływowy — a te wszystkie dążenia i czyny splączą się w pasmo zatargow, które będą miały tylko ten dobry skutek, że Francya raz sobie wyjaśni, jakiego człowieka właściwie potrzebuje do godności prezydenta. Posiadała biernego — skarżyła się na jego zbytnią „poprawność," teraz posiada energicznego, który ją niewątpliwie drażnić będzie swoją samowolą. Ostatecznie więc doświadczenie postawi przed nią pytanie, który z tych typów jest dla niej lepszy, wygodniejszy, bardziej pożądany? Nie sądzimy bowiem, ażeby powiedziała jak ów radykał na kongresie: nie chcę żadnego...

ZŁOŻYĆ BROŃ!

IV.

Instytucya sądów rozjemczych jest tak stara, jak wojna. Każda kłótnia kończy się podaniem sobie ręki. Każda rzeź musiała zupełnie naturalnie prowadzić do zawarcia pokoju. W tym szeregu drobnych szkiców nie możemy prowadzić czytelnika do labiryntu przeszłości i rozpatrywać w porządku pragmatycznym, jak pewne formy sądów rozjemczych wyłaniały się z poprzedzających; kieruje nami przedewszystkiem interes publicystyczny.

Jeżeli rozpatrzymy całokształt odbytych w stuleciu naszem tych sądów, ogólnych i specyalnych — ogólnych, o ile dotyczą całkowitej polityki państw, specyalnych; o ile wywołane zostały przez jeden jakiś drobny fakt dyplomatyczny albo ekonomiczny, to przedewszystkiem zdziwić nas powinna ich ilość. Dreyfus oblicza, że w ciągu stu lat (1794—1891) odbyło się 58 sądów rozjemczych. (Według innego ekonomisty, Donnata, było ich nawet 72). Ażeby zrozumieć, o ile bliżsi jesteśmy dzisiaj pojmowania konieczności i możliwości pokoju, wystarczy porównać tę cyfrę z epokami, na które się ona naturalnie rozkłada. Podczas 54 pierwszych lat (1794—1848) zachodzi zaledwie 9 wypadków, w okresie 22 następnych mamy ich już 15 (4 razy więcej), w późniejszem dziesięcioleciu (1870—80) — 14 (przeszło 8 razy więcej) od 1880 do 1890 cyfra ta wzrasta do 20 wypadków (prawie dwanaście razy więcej niż w pierwszej połowie naszego stulecia). Widzimy więc, z jaką olbrzymią siłą rośnie świadomość narodów i jak znajduje swe odbicie w coraz szybszem tempie dążności ugodowej.

Metoda ukonstytuowania sądu rozjemczego może być dwojaka: sądzić bowiem może albo jednostka (monarcha, papież, wreszcie uczony lub dyplomata), albo kolegium. Nauka skłania się wogóle ku temu drugiemu typowi, bardziej bezstronnemu. W tym celu proponowano z biegiem czasu kilka systemów. Przedewszystkiem wydziały prawa na uniwersytetach znajdują dwóch chwalców i protektorów. Przeciwko temu powstawał jeszcze Bluntschli, który uważał, że profesorowie prawa nie posiadają dostatecznej znajomości życia publicznego i wystąpił z projektem, według którego każde państwo europejskie może wybrać kilku sędziów w stosunku do ludności. Lista tych wybrańców byłaby stałą i mogłaby się zmieniać w zależności od spraw. Ostatnimi czasy sprawa stworzenia stałej instytucyi trybunału międzynarodowego wystąpiła na pierwszy plan rozpraw o wojnie i pokoju. Profesor prawa międzynarodowego na uniwersytecie moskiewskim, hrabia Komarowskij, który tym przedmiotem zajmuje się od lat wielu, poświęcił mu kilka głęboko pomyślanych prac. Studya te zwróciły uwagę Zachodu i przełożone zostały na języki francuski i niemiecki. Między innemi w specyalnem dziele *Le tribunal international* autor daje obraz przyszłej instytucyi. W trybunale tym reprezentowane być mają wszystkie państwa, bez względu na swą objętość geograficzną albo znaczenie polityczne. Każde z nich wysyła dwu członków. Państw takich autor liczy w Europie 18: Anglia, Rosya, Francya, Włochy, Niemcy, Austrya, Hiszpania, Belgia, Szwajcarya, Hollandya, Szwecya, Dania, Portugalia, Grecya, Rumunia, Serbia, Czarnogórze, Bułgarya; w Ameryce 12: Stany Zjednoczone, Meksyk, Ameryka Środkowa, Brazylia, Wenezuela, Kolumbia, Ekwador, Peru, Chili, Rzeczpospolita Argentyńska, Paragwaj i Urugwaj. W ogólnej sumie 30 państw, czyli 60 członków. W rachunku tym autor wyklucza, nie wiadomo dla jakich względów, Turcyę i nie wspomina o państwach azyatyckich.

Ważnym oczywiście jest wybór sędziów. Autor też odpowiada bardzo szczegółowo. Obmyślił cały system gwarancyj, któreby zapewnić mogły pewność i niewzruszoność sądu. Członków mianuje najwyższa władza każdego państwa na przedstawienie ministra sprawiedliwości, który ze swej strony powinien zasięgnąć rady u wydziałów uniwersytetu. Wymagane warunki pod względem moralnym: honor nieskalany, charakter stały, czysty, niedostępny dla żadnych ustępstw i przekupstwa; pod względem umysłowym: najwyższe dyplomy z ukończenia nauk prawnych; następnie czteroletnie studya specyalne nad naukami poiltycznemi, wreszcie czterolecie aplikacyi praktycznej bądź to na stanowisku urzędników, bądź to — sekretarzy trybunału międzynarodowego. Po zamianowaniu bezwzględna niezależność od woli rządów; wysoka płaca, pozbawienie prawa otrzymywania jakichkolwiekbądź orderów albo podarunków.

Inaczej nieco przedstawia się projekt *Völkergerichtshof'u*, który wykłada E. Schlief, wspomniany już przez nas poprzednio autor pracy o pokoju w Europie. Komarowskij żąda równej liczby przedstawicieli dla wszystkich państw reprezentowanych w trybunale. Schlief obawia się pewnego nacisku drobnych państw, których jest więcej, na wielkie mocarstwa (?) i w tym celu skłania się raczej do projektu Bluntschlego, czyli chce oprzeć rachunek na liczbie ludności, np. Grecya, Serbia, które stanowią jednostkę; w ten sposób oba wymienione państewka wysyłałyby po jednym przedstawicielu, Dania, Szwajcarya, Bułgarya po 2, Holandya, Portugalia, Rumunia, Belgia po 3, Szwecya 4, wreszcie siedem mocarstw po 5 sędziów. W ogólnej liczbie otrzymamy 59 głosów. Już na pierwszy rzut oka projekt ten odsłania błąd, gdyż opierając się na zasadzie liczebnej, nie uwzględnia ludności Rosyi, która jest dwa razy większą niż ludność Niemiec, a w rozumowaniu autora ma po-

---

3)

LAURA MARHOLM.

PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII KOBIETY.

Jeszcze przed końcem zeszłego stulecia kobieta pojmowała męża swego, nie jako tę, a nie inną, określoną, organiczną osobowość, lecz jako „mężczyznę." Przemawiając do niego, używała nie jak dziś, imienia lub pieszczoty, lecz nazwiska, nazwiska rodowego lub też wprost pojęcia gatunkowego: mężu! Pojmowała męża swego nie jako coś, co do niej należało, lecz jako coś, do czego ona należała, jako płeć, gatunek, tajemnicę, odległość, jako coś, czego nie rozumiała i przed czem się korzyła. Bo dla babek naszych życie nie było grą hazardową, było zadaniem rachunkowem, nie było nieudającym się zazwyczaj eksperymentem, jak bywa dziś dla mężczyzn i młodych ludzi, a następnie dla kobiet i dziewcząt — dla nich życie było tajemnicą, której się ze czcią poddawały. Nigdzie nie uderza to tak silnie, jak w zachowaniu się babek naszych wobec ciąży, porodów itd. Przypominam sobie jeszcze dokładnie — a należy to do najgłębszych wrażeń mego życia — jaką cichą, pobożną pieczą starsze kobiety otaczały akt taki u córek swoich. Żadnego szemrania, żadnych kaprysów, żadnego oporu. Jeżeli uważały życie wogóle za zrządzenie losu i mężczyznę — takiego, jakim był — za zrządzenie losu, to i wszystko, co podpadało pod zadania specyficznie kobiece, było dopiero i w najwyższym stopniu zrządzeniem, które przyjmowano takiem, jakiem było. Los bowiem żartować z sobą nie pozwala, a mogłoby przecież być jeszcze gorzej. Oddawały więc wszystkie usługi, napominały córki, nie sypiały po nocach, były obecne w ciężkiej godzinie, spowijały nowonarodzone dziecię z pokorą a zarazem dumą, skupieniem w obliczach, jak gdyby spełniały jakąś czynność świętą. Z taką samą czcią zachowywały się wobec nieuniknionego, koniecznego faktu — wobec pożycia małżeńskiego. „Jak należało" i było „obowiązkiem kobiety," którego powinna była dopełniać bez szemrania, ale i bez nieprzyzwoitych objawów uciechy. Własna jej zmysłowość bywała chyba najczęściej zaspokajaną przez jednostkę nieosobową. Nie tyle szło o to, jaki to był mężczyzna, wystarczało, że był *mężczyzna* i jej mężem; zresztą, sam akt, jak wszystkie misterye małżeńskie, odbywał się w ciemności; ciężkie, zasuwane firanki u staroświeckich łóżek małżeńskich — z których każde było masywne i w sobie zamknięte, niby mała twierdza — odgrywały tu chyba rolę więcej niż symboliczną.

Jakie natomiast przeciwstawienie do babek tych stanowią córki ich, nasze matki. Niema tu jeszcze oporu, lecz jest już pewne „malaise," bardzo częsta i ogólna niechęć w spełnianiu „obowiązków małżeńskich," swarliwość i pretensye podczas ciąży, obawa przed porodem, podsycana rozkoszą dręczenia siebie i męża, obawa, sumienie dorastającym córkom wszczepiana, podejrzliwe strzeżenie „stanowiska pani domu" i wszechwładztwa w domu — słowem, sfermentowana cnota. Kobiety te wzbudzają w mężach swoich szacunek przez wychwalanie swego poczucia obowiązku, z upartą wytrwałością, drogą dość ciężkiej suggestyi przekonywają ich, że są właściwie przebranemi męczennicami — które jedynie, dzięki naturalnej swojej skromności, nie wyprowadzają wszystkich z tego stanu rzeczy konsekwencyj; ulubionem ich słowem jest: poświęcać się. Poświęcają się dla męża, poświęcają się dla dzieci, poświęcają się dla gospodarstwa, poświęcają się dla towarzyskiego stanowiska rodziny, życie ich jest jedną, wielką ucztą poświęceń. Za tyle samozaparcia się żądają jednak zupełnej uległości męża i dzieci, podziwu, jako „dla przykładnych żon i matek." „Sobie niczego nie użyczą," ale nie użyczą też niczego swoim mężom-niewolnikom. Dochody i wydatki podlegają sprawiedliwej ich kontroli, mąż zaś — gdy czasem „na coś pozwoli," czyni sobie natychmiast, dzięki dobremu wychowaniu, aż nadto zrozumiałe wyrzuty. Nie

siadać prawo wysyłania równej liczby przedstawicieli. Powtóre Schlief ogranicza się do państw europejskich, pomijając nawet Amerykę. Projekt ten jednak i dla innych powodów nie zaleca się do wykonania. Autor nie uważa członków trybunału, aczkolwiek mówi ciągle o „Völkergerichtshof“, za sędziów; mają oni być uwierzytelnionymi przez rządy europejskie do oddania głosów. Instytucya ta ma być raczej podobną do obecnej Rady związkowej Rzeszy Niemieckiej, niż do „Sądu“, wykluczającego z istoty swej wszelki cień zależności i pełnomocnictwa. Rzecz pewna, że od wyroków sądu podobnego nie byłoby żadnych apelacyj. Rzecz pewna także, że z istoty wyroku wykluczonym by być musiał wszelki przymus „czynny.“ Pozostałyby tylko środki moralne wypływające z zobowiązania każdego z uczestniczących państw do poddania się wyrokowi. Schlief zastanawia się bliżej nad tem pytaniem i rozbiera przypadek, gdyby którekolwiek z państw zainteresowanych uchyliło się od spełnienia wyroku. Sądzi on, że w zasadzie trybunału tkwi federacya państw; jeżeli więc którekolwiek tej zasadzie sprzeciwi się, powinno być uważanem za wykluczone z ogólnej rodziny i co więcej, pozostałe państwa powinny chociażby z bronią w ręku zmusić je do usłuchania wyroku sprawiedliwości i nieposłuszne ogniwo skuć napowrót w ogólny łańcuch harmonii interesów.

Z bronią w ręku? A więc nic z rozbrojenia? Pocóż tylo zachodów dla tak drobnego rezultatu? Rozbrojenie ma dopiero nastąpić później. Kiedy — nie mówią uczeni. Wszyscy oni sparzeni na sądach zbyt szybkich i reformach zbyt gwałtownych, przenoszą tę chwilę świąteczną daleko, kiedy instytucya trybunału przyjmie się na nieprzygotowanej roli europejskiej. Chodzi więc o to, ażeby tę ziemię przygotować, opinię podniecić i oświecić, ażeby pretensye teoretycznie przynajmniej wyrównać, bruzdy przeszłości zatrzeć. Są ludzie, którzy w tej myśli o przyszłości znajdują cień minionego już ideału. Albowiem, jak wymownie pisał Edw. Laboulaye, „gdy myślisz tylko o nocy, wieczór jest smutny: nic, jeno ciemność, zimno i śmierć; ale i wieczór bywa przyjemnym i słodkim, niby nadzieja, gdy zwiastuje przyszły — poranek.“

Zobaczymy tedy, jakiemi drogami dążą do owego poranku ludzie myśli i ludzie czynu.

Humanus.

ŻALE NIEMCÓW
I TRYUMFY SŁOWIAN AUSTRYACKICH
W ŚWIETLE NAUKI.

III.

Lwia część gospodarstw chłopskich niemiecko-austryackich, szczególnie w krajach alpejskich, znajduje się dzisiaj jeszcze w epoce gospodarki „naturalnej,“ t. j. cel jej polega na tem, ażeby wytwarzać bezpośrednio wszystko to, co się spożywa w domu. Zaledwie „resztki“ idą na sprzedaż dla pokrycia podatków i zakupu narzędzi np. żelaznych. W tych kilku wyrazach określić można ideał gospodarstwa chłopskiego, którego spokojne, prawie sielankowe istnienie byłoby anachronizmem w wieku przyśpieszonego tylko życia kapitalistycznego. Podatki rosną niepomiernie; potrzeby państwa i gminy stają się coraz większe i coraz żarłoczniejsze. Pojęcie skali życiowej zmieniło się także w kierunku zwiększenia się potrzeb — odżywiania ubioru, zadowoleń umysłowych estetycznych. Występuje gwałtowna potrzeba pieniędzy; ceny rynkowe jednak nie podnoszą się o tyle, o ile wzrosły pożądania albo obowiązki. Zjawiają się więc długi, a za nimi cały szereg doświadczeń smutnych i bezlitośnych, u których kresu staje wyrok wygnania z ojcowizny. Jest to ewolucya prawie stała, którą niejednokrotnie przedstawiano na tem miejscu w oświetleniu drobiazgowem.

Powtarza się więc i tutaj — jak rzeklišmy — zanik gospodarstwa chłopskiego, który jest ofiarą praw ekonomicznych, wielkiego przemysłu, wielkiego kapitału. Zamiast ilustracyi dość przytoczyć tylko tę „drobnostkę,“ że ordynacya Liechtensteinów powiększyła się w latach 1852—82 o 26 gospodarstw chłopskich, obejmujących przestrzeń 3,094 morgów. Wskazywano już niejednokrotnie, skąd płynąć ma zbawienie dla chłopów alpejskich, hodowlę bydła na wielką skalę. Ten rodzaj gospodarstwa wymaga atoli przedewszystkiem kapitału, który należy umieścić w inwentarzu: drobny właściciel i tą drogą iść nie może. Ale może nią pójść średni (t. z. Grossbauer), zasobniejszy, pracujący przy pomocy siły najemniczej. Korzyść płynie przedewszystkiem ze zmniejszenia wydatków na siłę roboczą; drogą znowu dla drobnego właściciela niedostępną. Cóż on ma począć z rodziną własną, przy której pomocy pracuje zazwyczaj? Wypędzić? Tak więc ostać się nie może. Już dzisiaj napływają z okolic górskich wiadomości, że gospodarstwa chłopskie rozpadają się i zrzeszają w rękach silniejszych. I w takich właśnie nowo-powstałych siedzibach „na ruinach zakwita nowe życie.“ Patryarchalne stosunki ustają; wszystkiem rządzi ołówek i książka handlowa; dawna jedność właściciela i służby różniczkuje się. Wyższe potrzeby pierwszego nie pozwalają mu „zniżać się“ do poziomu izby czeladnej; parobek tworzy sobie dom na uboczu. Dom — bo z bezżennego chłopa powstaje żonaty najmita. Zupełnie, jak w Czechach, nie jada już gospodarz z czeladzią przy jednym stole.

O ileż różne są stosunki, które panują w kotlinie Sudetów! Tutaj kapitalizm już oddawna zapanował w przemyśle, w handlu, w rolnictwie. Przemysł cukrowniczy i piwowarski stworzył możliwość sadzenia na wielką skalę kilku roślin handlowych, a rozległe płaszczyzny pozwalają na używanie pługa parowego. W niewielkim czasie 1869—80 rozpadło się tutaj 87 tys. gospodarstw wiejskich, które stanowiły przestrzeń 300 tys. morgów. Z tego utworzyło się na nowo 41 tys. gospodarstw (z 86 tys. morgów, czyli po 2 morgi na gospodarstwo!), a reszta dwieście kilkadziesiąt tys. m. utonęła w wielkiej własności. Równolegle z tem zjawiskiem szło zmniejszanie się ludności rolniczej. Początkowo zamiast bezżennego parobka, widzimy żonatego najmitę; ale i ten ustąpić musi z czasem przed potęgą maszyny. Ostatni spis ludności z r. 1890-go wykazał też dla niektórych miejscowości rolniczych w Czechach niezmienioną cyfrę mieszkańców.

Niewesołym zaprawdę jest obraz, który rysuje wyobraźnia publicysty austryackiego. Niema innego zbawienia, ani dla chłopstwa, ani dla kadr `ludności

---

są przyjemnością dla męża, lecz nie dla przyjemności też żyją. Cokolwiek czynią, „spełniają obowiązek“ za to jednak „mają prawo“ żądania od mężów ścisłego spełnienia ich obowiązków. Wierność małżeńską utrzymują tak czysto, jak naczynia kuchenne, lecz dlatego też spostrzegają każdy obłoczek, który pada na nią wskutek lekkomyślnego wzroku, rzuconego przez męża na młodą twarzyczkę: zanieczyszczenie takie zostaje też skarcone i pomszczone. Zestarzawszy się, robią dużo hałasu z powodu chorób i dolegliwości swoich, skutków „samozaparcia się,“ charakterystycznem zaś znamieniem ich jest, że im są starsze i mniej powabne, tem więcej ujarzmionym i uległym jest mąż. Najczęściej dłużej od niego żyją, rozciągając panowanie swoje z licznym zbiorem „praw i obowiązków“ na synów i córki, do których szczęścia w małżeństwie nie przyczyniają się bynajmniej; jeżeli jednak umierają przed mężem na raka, chorobę cukrową, wodną opuchlinę lub inne wskutek samozaparcia się nabyte słabości, osierocony wdowiec opłakuje żonę, tęskni do niej i wielbi ją do końca życia, synowie mówią o matce z ekstazą, stawiając ją jako wzór żonom swoim, córki zaś zostają staremi pannami.

Naturalnie typy te nie dają zakreślić się dokładnie granicami wieku. W tak zwanych niższych warstwach i w odległych miasteczkach spotkać można wśród najmłodszego pokolenia kobiety, zupełnie do babek naszych podobne; podobieństwo to zanika jednak prawidłowo wszędzie, gdzie kobiety biorą się do czytania; modła zaś matek naszych ogólnie bywa jeszcze dziś stosowaną w wyższych kołach miast prowincyonalnych i wśród biurokracyi przez młode kobiety. Wogóle powiedzieć można, że pomiędzy pokoleniem, które wychodziło za mąż w piątem dziesięcioleciu wieku a pokoleniem, które wychodziło za mąż w ósmem istnieje wyraźna, odgraniczająca je, różnica. Matki korzyły się przed kategorycznym nakazem, córki naszego pokolenia mają cześć dla dowolności.

Jakże wyglądają te córki, jak wygląda to pokolenie, znajdujące się obecnie w okresie dojrzałości?

Jak wygląda kobieta dzisiejsza? Kobieta w dwóch zwrotnych punktach życia swego — trzydziestoletnia, w której właśnie rozpoczęła brzmieć wielka symfonia miłości, i czterdziestoletnia, w której symfonia ta wznosi się raz jeszcze, niby wspieniona kaskada, aby potem zwolna opaść, rozpłynąć się i zamilknąć?

Gdzież jest taki punkt widowni, która nas codziennie otacza, wśród której żyjemy i której tajemnicza mowa przenika do wszystkich uszu, tak że zrozumieć ją może każdy, kogokolwiek ona zajmuje; gdzież jest taki jej punkt, z któregobyśmy uchwycić mogli tę kobietę w typowym a zarazem doskonałym jej rozwoju, w charakterystycznem dla naszego czasu środowisku — w wyższej burżuazyi, w wybitnych fazach jej życia, w tajemnicy wewnętrznych, ukrytych jej doświadczeń i stadyów; punkt, z któregobyśmy podsłuchać mogli tętno jej krwi i drgania duszy, podpatrzeć czynność jej organów pod obcisłym pancerzem konwencyonalizmu, zobaczyć, jak indywidualność powoli pancerz ten rozsadza, jak wymagania indywidualne targają przędzę towarzyskiej lalkowatości, jak z damy wykluwa się kobieta? I gdzież jest typ, któryby ujmował tysiące owych odgałęzień i latorośli w jedno silne, ściśle, zrozumiałe zjawisko?

Nie mam na myśli tych kobiet, które puszczają się po za szańce, otaczające społeczeństwo, niby wielką fortecę, i tam na szczeblu, o stopień niższym, żyją dalej. Nie mam na myśli kobiet upadłych, zbłąkanych, zniesławionych, słowem oznaczanych powszechnie przez taką lub inną podobną etykietę. Żądze i wyprowadzona w pole głupota nic nas tu nie obchodzą. Mam na myśli te kobiety, na których czci nie spoczywają plamy, których nie czepia się nawet obmowa, kobiety, będące w najlepszem tego słowa znaczeniu damami z urodzenia, z całą tą wrażliwą dumą i pewną pańskością, z dziedzictwem kultury, przechodzącej z pokolenia na pokolenie a przejawiającej się w zachowaniu i czynach, kobiety, posiadające nietylko takt wrodzony, ale i wrodzoną inteligencyę, która pozwala im unikać wszystkiego, co jest gminne, nieprzyzwoite, rażące — a pod

niemieckiej — jeno kapitalizm; niema innej drogi wyjścia, jeno zupełne zdruzgotanie istniejących stosunków wiejskich. Tylko w ten sposób obiecuje sobie autor uzupełnić procent małżeństw u ludności niemieckiej. Czas bowiem, według niego, kiedy lepsze wykształcenie techniczne dawało robotnikowi przewagę — minął. Im więc praca staje się bardziej mechaniczną, im mniejsze wymagania, jakie stawia się inteligencyi robotnika, tem prędzej szala powodzenia przechyli się na stronę tych narodów, które są w stanie odrzucać przyrost ludności, przyzwyczajonej do bardziej intensywnej pracy i do niższego poziomu życia. Dlatego też ustępują francuzi anglikom w Kanadzie, anglicy irlandczykow w W. Brytanii, francuzi włochom, chińczycy białym w Ameryce. Nie człowiek o wysokiem wykształceniu, ale *kuli* staje się pionierem swej narodowości.

Hainisch, kończy swą książkę szeregiem projektów i zdań. Domaga się on mianowicie od rządu, ażeby ten wszelkiemi siłami usiłował stworzyć albo podnieść przemysł w niemieckich prowincyach Austryi; zaprowadził sieć kolei żelaznych, założył szereg szkół przemysłowych, w których ludność nietylko znajdowałaby teoretyczne wskazówki dla pracy, ale i przygotowywała się praktycznie do „wielkiego przewrotu w formie produkcyi.“ Wtedy — sądzi on — będzie można wytworzyć równowagę pomiędzy tak różnemi dzisiaj częściami monarchii austryackiej. Wtedy i dla mowy niemieckiej zapanują lepsze czasy. Przytaczamy końcowy ustęp charakterystyczny, za który niech sam autor odpowiada: „Im większą stanie się wymiana ekonomiczna, częstszymi wzajemne stosunki, tem konieczniejszym będzie wspólny język. Tym zaś może być tylko język niemiecki. O ile smutnem to być może dla małych narodów, to jednak przyznać należy, że silne życie umysłowe kwitnąć może tylko u wielkich narodów. Możliwym jest wykształcony anglik, rozumiejący tylko po angielsku; człowiek mówiący tylko po słoweńsku, nie może mieć pretensyj do wykształcenia.“

Nawet takiego zakończenia nie posiada praca Dumreichera, która ukazała się u schyłku roku zeszłego (*Südostdeutsche Betrachtungen*). Jest to krzyk rozpaczy, który przypuszcza, że echa nawet nie znajdzie. Jest to dokument, którego autor raz po raz otwiera niezabliźnioną, jątrzącą się ranę uczuć patryotycznych i na wszystkich polach działalności austryackich, w których panują dzisiaj czesi — wykazuje, że są niczem więcej, jeno przywłaszczycielami dawnych praw germańskich. Nawet nie probuje wskazywać dróg do poprawy. Nawołuje tylko do czynu, do walki — a przemawia tak, jak gdyby ta była ostatnią, jak gdyby stanowiła o śmierci jednych, o tryumfie drugich. Jest to więc manifest i nic więcej. Nam jednak chodziło o coś więcej — o naukę. Możemy więc poprzestać na tych kilku uwagach.

—nr.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po ochłonięciu z wrażenia, jakie wywarła śmierć Carnota, zabrano się do dwu rzeczy: do wydobycia z mordercy zeznań i wyłowienia jego wspólników i wszystkich anarchistów. O ile wnosić można ze skąpych doniesień prasy, pierwsze przedsięwzięcie nie dało pożądanego rezultatu. Caserio bowiem z początku uparcie milczał, a potem dał zaledwie kilka objaśnień. Dotąd wiadomo tylko, że pochodzi z wioski włoskiej pod Medyolanem, że jest z zawodu piekarczykiem, że miał powierników swego zamiaru. Gazety twierdzą, że należał on do szeroko rozgałęzionego spisku i wyciągnął los do zabicia Carnota. Nie mamy żadnej podstawy do zaprzeczania temu, zaznaczymy wszakże, iż legenda o losowaniu między spiskowcami powtarza się dość często i zbyt często okazywała się zmyśloną, ażeby ją można było przyjmować bez zastrzeżeń. Niesprawdzoną również jest pogłoska, że jakiś żołnierz, siedzący na odwachu, wyznał, iż wiedział o projekcie zamordowania Carnota, powziętym w gronie anarchistów. W końcu bieżącego miesiąca Caserio będzie postawiony przed sądem przysięgłych, wówczas dowiemy się, o ile te wzmianki są prawdziwe. Wyjaśni się również niedługo jego związek ze sprawcą zamachu na Crispiego (Legą), który niedługo będzie sądzony. Natomiast nie ulega wątpliwości, że rząd francuski, a za nim inne, zaczęły trapić anarchistów, których znaczna liczba siedzi już w więzieniu. Zwłaszcza we Francyi połów ma być bardzo obfity. Wszystkie jednak znaki wskazują, że główne ich gniazda ukryte są we Włoszech, które wogóle zdradzają stan bardzo niebezpiecznego rozkładu. Tam też ujawniła się świeżo ich robota. W Livornie zasztyletowany został takim samym sposobem, jak Carnot, redaktor miejscowej gazety Bangi, który napisał gwałtowny artykuł z powodu wypadku lyońskiego. Morderca zbiegł i dotąd go nie odszukano. Pod wpływem tej zbrodni Crispi łatwo otrzymał od Izby zgodę na rozszerzenie władzy rządu w ściganiu i tępieniu anarchistów.

Trzeba przyznać cesarzowi niemieckiemu, że bardzo zręcznie wyzyskał sytuacyę, wytworzoną przez śmierć Carnota. Nietylko posłał współubolewające telegramy do wdowy i rządu francuskiego, nietylko kazał ambasadorowi wzmocnić je ustnem oświadczeniem, nietylko złożył na trumnie nieboszczyka wspaniały wieniec, ale jeszcze w dzień pogrzebu ułaskawił dwu francuzów, skazanych na więzienie za szpiegostwo. Wszystko to niezmiernie podobało się francuzom i może po raz pierwszy od wojny zaczęli oni mówić o swych pogromcach tonem sympatyi. Czy długo ten nastrój potrwa — nie wiemy, ale dużo znaczy już to, że się objawił. *Figaro* powiada: „Cesarz Wilhelm był w niedzielę popularny we Francyi.“

Z kilku stron odezwał się okrzyk, że nad grobem Carnota państwa europejskie podały sobie ręce do zgody, która jeszcze mocniej utrwaliła pokój. Jest to przesada, w której tkwi ta tylko cząstka prawdy, że wszystkie rządy zjednoczyły się w żalu nad nieboszczykiem i w chęci pokonania tych rąk, których on padł ofiarą.

Gdy w Europie odezwały się słowa pokoju, w Azyi zabrzmiały hasła wojny. Japonia rzuciła rękawicę Chinom z powodu Korei, którą chce wyzwolić z ich zwierzchnictwa i poddać własnemu. Obie strony wysłały swe wojska.

---

wybraną tą garstką rozumiem kobiety, składające się na wybraną garstkę inteligencyi niewieściej. Dajcie nam możność odczytania tajemniczej historyi tych dusz — a staniemy w samem ognisku kobiety dzisiejszej, skąd rozglądać się możemy za i przed siebie, w górę i w dół, po wszystkich nierównościach, stopniach i etapach przejściowych.

Ale jakimże sposobem odczytać możemy to tajemnicze pismo, gdy otworzą się przed nami wszystkie schówki i rygle?

Życie kobiety jest życiem zatajeń.

Całe jej wychowanie jest poprostu zatajeniem kobiety przed nią samą. Matka tai przed małą swoją córeczką dziewczynkę w dziecku. Szkoła tai przed dorastającą dziewczyną kobietę w dziewicy. Niegdyś dziewiczość była misteryum, dzisiaj jest ona — mistyfikacyą. Niegdyś dorastająca kobieta wiedziała wszystko, co zrozumieć mogła — w naszem stuleciu uszczęśliwiającej humanitarności i zbawicielskiego wychowania, kobiecie najmniej wolno wiedzieć *to*, co rozumie instynktownie; wielkie humanitarne i pedagogiczne zadanie wszystkich szkół żeńskich polega na tem, aby wychować w kobiecie bezpłciowość. Jeszcze w początkach naszego wieku brano rzeczy naturalne — naturalnie i żadna matka nie nakazywała córce odwrócić oczy, kiedy kogut przypominał kurze cel jej istnienia. Dziś rumienią się nawet ojcowie, ilekroć taki miejski kwiatek, w naiwnem współczuciu dla zwierząt, usiłuje pomódz kurze; czynią też wyrzuty mamusi za to, że latorośl swoją nie dość dziewiczo wychowała. Issnieje jednak jeszcze „czyściejszy“ środek do utrzymania niewinności dziewiczej: polega on na odmawianiu racyi bytu wszystkiemu, co dotyczy płciowości. W całej Europie klasycy bywają wpuszczani do szkół żeńskich dopiero po należytej operacyi, a nawet słowo boże dostaje się do rąk wzrastającej dziewczki tylko w „oczyszczonej formie.“

Tak rozwija się dama z towarzystwa. Z nią zaś rozwijają się dwie rzeczy:

Sztucznie wyhodowana ciekawość, która w dziecku wielkiego miasta najczęściej przeradza się w zawcześnie rozbujałą pożądliwość. Pożądliwość ta pożera ciało i duszę, przejawia się nazewnątrz, jako bezcelowa, maniacka kokieterya, przelatuje z mężczyzny na mężczyznę, nie będąc w stanie spocząć na jednym, w ostatecznem zaspokojeniu znajduje tylko rozczarowanie, lekceważy męża, z małżeństwa czyni torturę i — rzecz dziwna — mimo ciągłego krążenia koło mężczyzny, nigdy prawie fizycznej podstawy stosunku obu płci nie pojmuje, poddając mu się tylko impulsywnie.

Typ ów jest w życiu tem, co francuzi oznaczają przez wyraz, nie dający się przetłomaczyć, ani przez inny zastąpić: *une détraquée.*

Kobiety tego typu spuszczają się łatwo przez szańce, otaczające honor burżuazyjny.

Drugi gatunek ma już we krwi bardzo z natury wrażliwy barometr czystości. Istnieje znaczna grupa kobiet — a zauważyłam już, że zwykle należą do niej jednostki najbogaciej pod względem duchowym wyposażone, umysłowo najwybitniejsze — które instynktownie z trwogą i drżeniem czuwają nad czystością swoją. Dla kobiet tych niema większej obrazy, większego poniżenia nad świadomość, że mają na sobie plamę. A plami je wszystko: pożądliwe spojrzenie obojętnego im mężczyzny, myśl, która powstała w nich drogą zwyczajnej suggestyi, a której tłuste ślady usiłują zmyć z duszy swojej tak, jak mydłem i wodą zmyłyby z ręki kalający ją dwuznaczny uścisk. W największej ilości wypadków jest to poprostu pierwotna dziewiczość, chowająca zazdrośnie cały swój kapitał na wielką rozkosz zindywidualizowanej, jednemu, pewnemu mężczyźnie oddającej się miłości. Są to najczęściej kobiety, mające instynktowną świadomość swojej wartości, instynktowną finezyę głębokiej erotyki, kobiety o krwi bogatej, płodnej, tęskniącej za złączeniem się z ukochanym zarodkiem, dla wydania zdrowych dzieci. Są to natury, rzucające stawkę wysoką.

Bo nie są one dla *wszystkich* mężczyzn, lecz dla *niewielu.* Pytanie, czy spotkają jednego z tych niewielu i czy on je zauważy?..

A zdarza się to nie często, aby je zauważył. Dwa bowiem są najogólniejsze

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Ada Negri: „Fatalitée." — Cavalotti: „Alcibiade."

Wiemy, iż jesteś w nas, gdy piersi nasze się wznoszą" — taką jest modlitwa kobiet, zdaniem Renana. Młoda poetka włoska, Ada Negri, najgorętsze swe hymny wygłasza na cześć miłości. „Do czoła młodego pozwól, o pozwól — zbliżyć się z pocałunkiem gorącym, namiętnym — i jedno tylko słowo miłości szeptać w upojeniu niebiańskiem. Tak mi trzeba kochać!" („Te solo"). Prawie pogańską niewinnością tchnie w jej ustach modlitwa „O Amore, Amore, Amor!.." („Canto d'Apsile). Wychowała ją nędza, ale niema zgiętego karku biedaków. Nasza epoka uprawiając wszystkie nadzieje, pobudza wszystkie energie. Oto jakie zadania stawia sobie młoda osiemnastoletnia dziewczyna: „Będziesz walczyć bez strachu i śmiało — żyjąc tylko przyszłością, nie spoglądając po za siebie — i pieśni twe rozlecą się, jak strzały — jak hasło do walki, nad ziemią zadzwonią... Śród świata nędznego, śród kłamstwa i grzechu — pójdziesz ty naprzód, wielka i jasna — za wszystko, co piękne, za wszystko co wzniosłe — będziesz walczyć, pełna nadziei! — A jeżeli los ci gotuje porażkę — będziesz piękna nawet w upadku?" („Voci si tenebra").

Jest to bojowniczka, nie łkająca lilia, posyłająca blade westchnienia ku marzycielskiemu księżycowi, lecz róża okrutna, podobna do ciała kobiet, Herodiada kwiatów. Natura południowa pełna życia i wrzawy rozwinęła się przy śpiewie koników polnych i szmerze pszczół, tchnie namiętnością, jak pękające granaty jej ojczyzny i figi ociekłe miodem. Obok pogańskiej miłości trzeba jej sławy pogańskiej. „Tobie, nasz bojowniku za idee święte—z mroków powstały piewco — potężna sława na gęste kędziory — włoży wianek nieśmiertelności" („Vaticino"). Ta natura poganki i artystki pomieszczona została przez życie w otoczeniu nędzy i pracy. Ale ona jest dumną ze swej nędzy i ze swych cierpień. Jej braćmi są robotnicy i nędzarze. Ona kocha te gąszcze biedy i dumną swą głowę schyla przed pracą. Dla tych, co spędzają życie przy młocie, ma słowa pociechy. Chęci szczęścia, miłości zwalcza pracą, a zazdrosną żądzą sławy żywi potężna wola. Nad czołem unosi się bolesna pieczęć talentu. „Młoda kobieta w czerwonej szacie dotknęła mi skroni palcem i zaśmiała się. Rzekła: nosisz na czole znak w formie dziwnego krzyża. Nosisz znak na czole. W biegu niespokojnych twych lat zawsze mieć go będziesz, gdyż wycisnęło go ukąszenie upiora. Wysysa chciwie najlepszą część twego życia i ogień twych żył, gdyż upiór ten to Sztuka..."

Ada Negri jest córką robotnicy i tylko dzięki słynności literackiej zdobyła miejsce nauczycielki szkolnej. Praca ta jest jej dumą, ale nie dobrodziejstwem: napewno nie zaspokoi głodnego upiora Sztuki. Dlatego też poezya jej jest pełna goryczy, nienawiści i energii. Ukształcenie ma bardzo niewielkie: czytała mało, nie wyjeżdżała prawie z małego miasteczka, w którem się urodziła. Wszystko to tłomaczy ubóstwo pomysłów, które się wyraża w jednostajnych skargach na los, wierze w swe siły, żądzy szczęścia i sławy, miłości biedaków. Forma nieumiejętna objaśnia się brakiem wprawy i nauki. Czy życie spali ten brylant wraz z bryłą węgla, w której lśni, czy też go oddzieli i odszlifuje artystycznie — trudno przewidzieć.

Berło w dramacie włoskim dzierżą obecnie Cavalotti i Giacosa. Zastanówmy się dziś nad dramatem pierwszego p. t. „Alcibiade." Jest to długa i zupełna biografia w dyalogach, pisana przez człowieka talentu i zarazem erudytę. Cavalotti łączy w jedną całość natury Antoninsza, Koryolona, Cezara, Sardanapala i don Juana dla odtworzenia zagadkowego siostrzeńca Periklesowego — i pomimo to chybił celu. Zastanówmy się nad tą figurą.

Wychował się w domu Periklesa. Musiał to być wpływ potężny. Wprawdzie Alcybiades miał naturę ze stali, która się gnie, ale wciąż przybiera pierwotną swą postać. Otoczenie to musiało jednak rozwijać w nim smak używania i instynkty ambicyi z samej młodości. W tem ognisku namiętności politycznych, jakiem był dom Peryklesa, młody chłopiec szybko się przyzwyczaił do atmosfery sofizmatów i intryg. Poznał wszystkie sprężyny polityki ateńskiej, którą mu wyjaśniał w szczegółach wielki mąż stanu, zachęcając go pewno do okrutnego rzemiosła władzy — bo jeżeli rzadko kto bardziej doświadczył całej nędzy panowania, to nikt lepiej nie smakował we wszystkich jego rozkoszach. Kto wie, czy uczeń i mistrz nie pałali wzajemną zawiścią ku sobie, jeden u szczytu władzy i rozczarowania, drugi w upojeniu pierwszych nadziei i dążeń. Charakterystyczną jest rozmowa pomiędzy Peryklesem i Alcybiadesem, przytoczona przez Ksenofonta, gdzie młody chłopiec przypiera starego męża stanu do muru, żądając określenia prawa, którego tamten dać nie może. „Gdy byłem w twoim wieku — powiada Perykles z przekąsem — byliśmy także mocni w tych trudnościach, lubiąc subtylizować i snuć sofizmaty, jak ty to obecnie czynisz." Z drugiej strony niewieści czarą i elegancya Aspazyi także musiały zostawić ślady na tym pysznie rozwiniętym indywidualizmie, w znaczeniu artystycznem, nie mówiąc o polityce i wymowie, w których, zdaniem Platona, była mistrzynią nawet Sokratesa i Peryklesa.

Olbrzymia fortuna, słynne imię — był potomkiem Klistenesa reformatora—i młodość spędzona pod kierownictwem genialnego męża i uroczej Muzy, w towarzystwie filozofów, artystów, pięknych kobiet, w atmosferze zupełnej swobody, wolnej od wszelkich przesądów — taka była oprawa tego brylantu. Wszystkie świadectwa pokazują nam Alcybiadesa, jako naturę obdarzoną niesłychanym hartem woli, o wspaniałych gniewach i boskiej dumie. Grał z dziećmi na ulicy w kości. Naraz zbliża się wóz. Dzieci poustępowały, Alcybiades krzyknął woźnicy, aby się zatrzymał, a gdy ten nie posłuchał, chłopiec chcąc, żeby wola jego koniecznie spełniona została, rzuca się odważnie na ziemię, pod nogi koni, wołając: „A teraz przejeżdżaj, jeżeli śmiesz." Dbałość o swe piękno posuwał zawsze aż do krańcowej kokieteryi. Na flecie nie chciał grać, gdyż on kazi wyraz twarzy; pamiętał zawsze, iż Atena odrzuciła ten instrument, a Apollo odarł ze skóry satyra Marsyasza. Dla greków piękno

---

współczesne typy męzkie: *dziki* i *dekadent*. *Dziki* — to nieskomplikowany, wielki, silny, zdrowy, dobry chłop z sercem dziecka i systemem nerwowym bawołu; zasadniczą cechą jego jest, że niczego nie spostrzega i że wskutek tego w rzeczach miłości najczęściej „wpada." Jeżeli dobrze idzie, żeni się z jakąś miotłą, głupieje z nią razem i płodzi dużo dzieci, które dalej głupieją. Jeżeli źle idzie, plącze się w jeden z wielu wyciągniętych przez *la détraquée* rożków. *La détraquée* stanowi wogóle *the great attraction* dla mężczyzn naszego wieku. W wyścigach, których metą jest mężczyzna, *la détraquée* ma jedną tylko współzawodniczkę — skończoną piękność z taką czystością i bezwyrazistością linij, jaką mają greckie statuy i z temperamentem nagrodzonej na wystawie krowy. Piękność taka podrażnia jednak tylko zmysły *dzikiego*; dla *dekadenta* jest niczem. Dla pobudzenia znużonej jego męzkości trzeba działania bezpośredniejszego, śmielszego od działania, którem bierna piękność rozporządzać umie. Środkami takimi rozporządza *la détraquée*. Pożądliwa jej ciekawość, nieustające pragnienie rozgrzewają mężczyznę i z wolą, czy też mimo woli jego, atakują wprost płeć. Tchórzliwość i niesmak, wywoływany w kobiecie tego rodzaju przez zaspokojenie płciowe, sprawiają, że cofa się ona natychmiast po zaczepce! poczem znowu wyciąga rożki i obmacuje nimi mężczyznę. Żyje tym widokiem żądzy męzkiej; gdy atmosfery takiej wokoło siebie nie ma, żółknieje, chudnie, staje się histeryczką. A im więcej umiejscowioną jest zmysłowość mężczyzny, tem silniej nań działa wspomniany rodzaj uroku. *La détraquée* nigdy nie jest piękną, rzadko bywa ładną, ale „ma wabika." Mawiają, że jest pikantną. Spotkać ją można wszędzie i na wszystkich zebraniach. Jeżeli podasz jej mały palec, weźmie natychmiast, a często z wielką gracyą — całą rękę; i oto zazwyczaj tajemnicza przyczyna, z powodu której *dziki* wpada w jej sieci. Fizyologicznem objaśnieniem tego zjawiska będzie znowu umiejscowiona w *dzikim* zmysłowość. A i *dekadent* nie reaguje już całą swoją istotą: mózgiem, duszą, nerwami, płcią, złączonymi w ścisłą jedność; wyższe formy rozwojowe tknięte już są u niego paraliżem; trzeba mu tedy poprostu *bezpośredniego*, *silnego* podrażnienia, pobudzającego krew do tak gwałtownego obiegu, jaki jest konieczny dla wywołania rozkoszy.

W tem leży wiele, zdaje się, okoliczności, objaśniających opłakane stosunki miłosne i małżeńskie naszych czasów. Mężczyzna, podobnie jak i kobieta, znajduje się w stadyum przejściowem. Ze starego pnia, który nazwałabym typem *dzikim*, oddziela się kilka niedokończonych lub bezsilnych odmian—typ *dekadentów*. Zwróciwszy uwagę na to zjawisko, spostrzedz też można, że we współczesnem życiu naszem spotyka się najczęściej połączenie obu tych typów w jednym — *dziko-dekadenckim*. Wyrazem jego jest mężczyzna, odznaczający się w sferze uczuciowej całą ową niezróżniczkowaną jeszcze niewrażliwością pradziadów, a reagujący jednak w stosunku do kobiety na podrażnienia, którym ulega dekadent. Spotyka go się wszędzie, w życiu publicznem i prywatnem — dla „modernizmu" w literaturze jest poprostu postacią typową. Nieszczęśliwy ten mieszaniec, który nie mogąc wyżyć we własnej skórze, chwyta się już to kobiety, już stosunków społecznych, ma wśród wielkich i małych geniuszów naszych tak licznych przedstawicieli, że szczęśliwie i całkowicie zróżniczkowana indywidualność męzka w masie tej zupełnie ginie. Walka płci, wstręt dla kobiety, zagadkowość jej, wogóle większa część sławnych zagadnień płciowych, stanowiących przedmiot współczesnej literatury nie przeniknęła, z bardzo tylko małymi wyjątkami, głębiej, aniżeli do źródła, z którego dekadent, mieszkający w „dzikim" poecie, czerpie żółciowy swój pesymizm. Co znaczy, że zagadnienia te utkwiły w ograniczonych mózgach jednostek, znajdujących się w ciężkiem stadyum przejściowem i wlokących się przez życie po omacku, wśród mnóstwa maniackich pomyłek.

(D. c. n.).

było więcej niż zaletą, było cnotą. Nawet bogowie łatwiej wysłuchiwali modlitw piękności. Wymagano jej od kapłanów. Była to nawet największa cnota, gdyż inne mogą być zdobyte, udoskonalone, ta jest bezpośrednim darem bogów. W wieku, gdy młodzieńcy wychodzą z gimnazyum, Alcybiades był wodzem pokrytym laurami Potidei, pierwszorzędnym mówcą i dyplomatą. Zbytek i blask jego użycia ranił oczy zawistnych, którym rzucał złoto w królewskiej pogardliwości. Zaczęto go oskarżać o dążenie do tyranii. Pewnego dnia gdy sługa nie chciał go wpuścić do Peryklesa pod pozorem, iż pan jego pracuje nad złożeniem rachunków ateńczykom: „Ah, czemuż Perykles raczej nie pracuje nad tem, aby nie składać rachunków tym ateńczykom“ — miał się odezwać Alcybiades. Istotnie obcy mu był wielki szacunek dla swych współrodaków, którzy składali się z dwudziestu tysięcy filistrów, zawistnych i nikczemnych, uzbrojonych w kamienie ostracyzmu. Zanim jeszcze wystąpił na arenę publiczną, miał masę wrogów, którzy nie szczędzili mu oszczerstw. Ściągał je na siebie swoją pięknością, ostrym dowcipem, rozrzutnością wielkiego pana. Zbiegało się ku niemu towarzystwo rozpustników i pasorzyiów ateńskich. Dumny i gniewny traktował ich datkami i wzgardą. Był „najpiękniejszym z greków,“ a w elegancyi nikt go nie przewyższał. Nosił purpurowe pallium, wyszyte złotem, które wlokło się za nim po ziemi ruchem zniewieściałym, sandały własnego pomysłu, które weszły w modę pod jego nazwiskiem i złote koniki polne w pięknych swych włosach. Był to ówczesny „magister elegantiarum.“ Wszystko to wzbudzało ku niemu dwuznaczne bardzo zapały miłosne, o których zresztą nic pewnego nie wiadomo. Trudno powiedzieć, ile prawdy i ile fałszu zawiera się w oskarżeniach, które pod tym względem ciążą na Sokratesie, a nawet na boskim Platonie. Jest to kwestya, której pedanci niepotrzebnie taką wagę przydają. Alcybiades zajmował się nietylko polityką, ale także szkolną filozofią, literaturą i w tych dziedzinach wpływ Sokratesa był mu pożyteczny; w poglądach politycznych był zupełnie niezależny od swego mistrza. Ten ostatni wyznawał zasady arystokratyczne, gdy tamten był demagogiem. Po śmierci Kleona stanął na czele stronnictwa ludowego, dawszy poprzednio dowody genialnego wodza, mówcy i dyplomaty. Obszerne plany i prace nie przeszkadzały mu używać: noce spędzał w towarzystwie rozpustników, heter i nie tylko heter. „Mnóstwo kobiet uczciwych uganiało się za nim z powodu jego piękności“ — powiada Ksenofont. Było to użycie greckie. Kult Wenery wymaga od swych adeptów tylko pogodnej duszy i potężnych bioder. Cavalotti w swej chęci zrobienia Alcybiadesa nowożytnym, udziela jego heterom rysy zupełnie współczesne: Aspazya jest Balzakowską dojrzałą kobietą, rozkochaną w młodym chłopcu, Tymandra jego Beatryczą, która prawi mu kazania na temat miłości ojczyzny i t. d. Zresztą orgie swe prowadził w sposób artystyczny, a na tarczy miał wizerunek Amora. Złorzeczeniu i zawiści rzucał w ofierze ogony swych psów.

Cavalotti robi z Alcybiadesa marzyciela, którego ambicya prowadzi do zdrady, a zdrada do zbrodni. Stąd do patryotyzmu krok jeden. Pogląd ten jest wszakże nawskroś fałszywy i stanowczo nam psuje Alcybiadesa. Co nas w tym typie psychologicznym zastanawia, to niesłychany rozwój samowiedzy — jest to prawie człowiek XIX stulecia, o jakim marzył Stendhal. Geniusz nawskroś świadomy, pozbawiony wszelkich pobudek instynktowych. Nie miał ani patryotyzmu, ani przekonań, sceptyk nieuleczalny, gracz bez skrupułów, gotowy każdej chwili postawić swoje życie i życie innych na kartę. Tacy ludzie nie znają skruchy. Są to siewcy wielkich snów, robiący z życia żywą poezyę i sztukę, promienny poemat, arcydzieło. Atenom oddał wielkie usługi — zdobył neutralność persów, podbił ponownie Ionię, obalił rząd 400, spartańczyków zwalczył w 20 bitwach — a jeżeli większych jeszcze usług nie oddał, to nie jego w tem była wina. Dla ojczyzny swej był zgubnym tylko od tego dnia, gdy ona go się wyrzekła. Jak geniusz opiekuńczy Aten, nosił w sobie złe i dobre jej losy. Jego powodzenie było powodzeniem Aten, jego upadek — ich upadkiem. W zatargu pomiędzy Alcybiadesem a jego ojczyzną wina jest po jej stronie. To jej wietrzność i niesprawiedliwość pobudzały go do odwetu. A jakkolwiek kilkakrotnie mógł ująć władzę, nie uczynił niczego dla zniszczenia demokracyi. Jego dyktatura opierała się na podstawie czysto moralnej i zasłużonej. Pomimo to spędził połowę życia na wygnaniu, zrujnowany i zginął pod ręką zabójcy. Historya Aten była wciąż historyą męczeństwa bohaterów. Ale taką była potęga ducha w Alcybiadesie, iż współobywatele pewno mniej go nienawidzieli, niż bawili. O szacunek ludzki nie dbał, gdyż dobrze go ważył i wiedział, co on jest wart; mało się także troszczył pewno o przyszły sąd historyi — który wypadł tak surowy!—gdyż wiedział, iż historya jest pobłażliwą tylko dla tych, co mają powodzenie i nie przekraczają zrozumienia masy. Lubi ona bohaterów z jednej sztuki, ale on, tak różny, złożony i pełen wyrafinowania! Wspaniała legenda artystyczna, w której wszystkie oddzielne rysy są w sprzeczności z sobą. Któż był ten sceptyczny zbawca ojczyzny? Kto pod tylu sprzecznymi rysami odkryje jedność jego tajemniczej natury? Napewno nie historya pisana dla mas. Marzyciel i człowiek czynu, był jedynym z greków, któryby się czuł na miejscu obecnie, na tym melancholicznym schyłku XIX st. Artysta życia, światowiec, elegant, kochanek wszystkich kobiet, wódz ludu, a w chwili stanowczej — dyktator. Władzy się dobijał dla tychże powodów, dla których Prometeusz jej chciał. W nim geniusz grecki i indywidualizm ludzki doszedł do najpogodniejszego rozkwitu, bez spaczeń i wykoszlawień, pochodzących z Judei.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁA W AMERYCE.

Chwilami wolniejszemi biorę się do studyów nad szkolnictwem amerykańskiem, gdyż ono pociąga swoją oryginalnością i wprost barwnością wzorów. A materyałów nie zbraknie temu, kto zechce to czynić. Wątpię, czy gdzieżolwiek w naszej części świata, znalazłby się tak łatwo i taki obfity zasób faktyczny. Zasada jawności, po tamtej stronie Atlantyku uważana za źrenicę konstytucyjną, jest troskliwie pielęgnowaną. Ona to sprawiła, że zarząd szkolny każdego niemal stanu, każdej szkoły technicznej, uniwersytetu i kolegium, każdego wreszcie, niekiedy drobnego miasta ogłasza drukiem oficyalne sprawozdania ze swojej działalności, przedstawia dokonane reformy, spowiada się z zamiarów na przyszłość. Nieraz są to książki, liczące do tysiąca stronic, a ozdobne planami szkół, drzeworytami, przedstawiającymi zabawy uczniów, podobiznami ich wypracowań. Wydawnictwa te są rozsyłane darmo każdemu, kto ich zażąda. Wymaga tego zasada jawności! Tą właśnie drogą znaleźliśmy się w posiadaniu paruset takich sprawozdań, opisujących stan szkolnictwa w różnych zakątkach Związku północno-amerykańskiego za rok 1892 lub 1893.

Rozmaitość w szkolnictwie amerykańskiem, jest bardzo wielka. Decentralizacya zapanowała w niem wszechwładnie. Chociaż w Waszyngtonie istnieje centralny urząd szkolny, lecz w swojej działalności nie wychodzi po za zbieranie materyałów statystycznych lub zajmuje się ogłaszaniem wydawnictw, które poznajomić mają kraj ze stanem miejscowego, niekiedy zaś zagranicznego szkolnictwa. Po za wpływami, które wywiera w ten sposób, nie posiada najmniejszej władzy — jest doradcą, ale nie kierownikiem, ani też kontrolerem. Każdy stan pojedynczy posiada najzupełniejszą samodzielność i czyni, co mu się podoba. Ale centralizacyę wyklęto nawet w tych granicach. Pozostawiono swobodę każdej gminie: miasta, położone w tym samym stanie, użytkują z odmiennych podręczników, trzymają się różnych zasad nauczania i niezależnie od siebie wprowadzają różne udoskonalenia. Zdawałoby się, iż taki bezład powinien oddziaływać nader ujemnie. A jednak szkolnictwo nie ginie w jego falach, lecz swawolnie igra z tym brakiem porządku i znajduje w nim źródło swojej mocy i swojego rozwoju. Decentralizacya zamiast tamowania postępów, umożliwiła w szkolnictwie współzawodnictwo pomiędzy oddzielnemi częściami kraju w kierunku metod zdrowszego i dodatniejszego nauczania. Warto poznać mechanizm, za pomocą którego szkolnictwo zamorskie tak szybkie czyni postępy, że już wobecnej chwili rzec możemy, iż Ameryka przoduje na polu nauczania tak samo, jak to czyni w zakresie techniki. Obywatel rzeczpospolitej zaatlantyckiej odznacza się niezwykłą praktycznością i właściwym mu w tej mierze zmysłem pojął, że, ażeby być dzielnym pedagogiem, trzeba patrzeć na swój zawód nie jak na złotodajną żyłę, lecz jako na rodzaj kapłaństwa. Nauczyciel musi być marzycielem, niby przeciwieństwem instynktu geszefciarskiego, a przytem posiadać zupełną swobodę czynów. Posłuchajmy, co powiada o tem jedno z urzędowych sprawozdań. „Musi istnieć — czytamy w orędziu kalifornijskiego inspektoratu szkolnego — ogólna jednostajność w dziedzinie studyów, ale martwota chińska co do szczegółów jest jak największą klęską w szkolnictwie. W dzisiejszym naszym systemie istnieje sporo miejsca dla entuzyastów, którzy posiadają w głowie jakąś ideę. Zapał jest podstawą powodzenia w wychowaniu. Jeżeli z roku na rok składać będziemy zarząd szkolny w ręce inteligentnych entuzyastów, którzy umieją ocenić znaczenie poruczonego im ciężaru, nie potrzebujemy wskazywać im, co czynić mają.“ Szkoła winna zatem być oddana entuzyastom, którzy pokochali swój zawód nauczycielski — oto klucz do zrozumienia owej wartkości postępowej szkolnictwa zamorskiego. Niechaj entuzyazm wyprawia możliwe łamańce i niech zapaleniec posiada dostęp do szkoły — taką zasadę wyznają pedagodzy zamorscy. I musimy przyznać, że nie zawiedli się oni w swojem wyrachowaniu, przeciwnie, znaleźli istotną dźwignię postępu. Jej to trzeba zawdzięczać ten skutek, że w falach decentralizacyi szkoła nie zginęła, ale owszem rozwija się. A co zapał zdziałać może, o tem nabierzemy pojęcia, jeżeli zechcemy zatrzymać się nad dziejami froeblowszczyzny po tamtej stronie Atlantyku. W ciągu niewielu lat tak zwane ogródki rozszerzyły się wzdłuż i wszerz lądu amerykańskiego, technika szkolna wydoskonaliła się, nauczanie przybrało kształty u nas nieznane. Rozwój zaś odbywał się w sposób następujący. Zwykle w jakiemś mieście zjawia się entuzyasta lub entuzya-

stka, zwołuje więc obywateli i na nim przedstawia, czem jest szkółka freblowska, jaki daje pożytek. Ten i ów zobowiązuje się do stałej składki rocznej. Powstaje towarzystwo i zakłada ogródek. Oddaje ono go jakiejś innej entuzyastce, która wierzy, że ucząc dziatwę, pracuje w winnicy pańskiej. A nad nią czuwają inne entuzyastki, wchodzące do komitetu zarządzającego. Ta dążność odebrania szkółek freblowskich z rąk geszeftu prywatnego jest powszechną w Stanach Zjednoczonych. Stwarzane w taki sposób, już od początku stają się one rzeczą pół-publiczną. Entuzyastki krzątają się żwawo, najmniejsza mieścina posiada zakłady tego rodzaju, prąd freblowski przy ich pomocy wtargnął do najodleglejszych zakątków, powołał do życia tysiące szkółek i wreszcie dopiął tego, że niejedna municypalność uznała ogródki za najpierwsze ogniwo publicznego wychowania i zakłada je przy szkołach elementarnych. Zapaleńcy idą dalej, bo urządzają jeszcze kółka dla studyów psychologicznych nad maleństwem, stwarzają systematyczne kursy dla matek, a nawet „meetingi macierzyńskie,“ na których bywa po tysiącu rodzicielek. Słowem, Ameryka stwarza w każdej dziedzinie życia wielkie wzory! Entuzyazm amerykański zresztą płynie w szkolnictwie wielu niezależnemi od siebie korytami i oddziaływa w najrozmaitszy sposób, ale zawsze wydaje z siebie skutki najdodatniejsze. On to wciela w życie nowe formy i nowe metody szkolne, zarząd zaś jest tylko organizacyą kontroli i propagandy.

Szablon fabryczny wżarł się silnie w życie zamorskie i swoim jadem zatruł oryginalność. Zamiast starodawnych zegarków, z których każdy nosił na sobie znamię swego twórcy, maszyna wyrzuca na rynek tysiące okazów, tak podobnych do siebie, jak jedna kropla wody do innej. Taka jednostajność rozpostarła się w Ameryce we wszystkich dziedzinach. Nawet powieść powstaje w kuźni szablonu. W pewnych agenturach oficyaliści śledzą w prasie codziennej wątki dramatyczne plotek reporterskich, wycinają je i dają do opracowania najemnikom pióra, firma zaś sprzedaje zrobioną powieść od siebie. Zdawałoby się więc, że w wychowaniu każdą duszę ludzką również poddano tej samej tresurze, że zaprzężono ją do tej samej książki, ostrzyżono według tego samego modelu. A jednakże tak nie jest. Nie wiem, czy w jakimkolwiek zakątku globu ziemskiego uszanowano tak głęboko naturę młodocianą w jej różnobarwności. Szkoła stała się elastyczną niby guma, nie drobiazg ludzki winien się przystosować do niej, ale ona do duszy, a przynajmniej do uzdolnień swoich wychowanków. Zasługa to entuzyastów, oni bowiem zadali cios rutynie szkolnej i prowadzą w dalszym ciągu dzieło jej przeobrażenia. „Uczyń szkółkę pociągającą—takie czytamy przestrogi w jednem ze sprawozdań urzędowych — ozdób ściany kilku obrazami, postaw parę grzędek z kwiatami nie dla analizy, ale dla ozdoby. Ubieraj się ze smakiem. Kawałek barwnej wstążki tyle dostarczy przyjemności dziatwie! Odłóż na bok urzędową powagę i postępuj tak, jak gdybyś się znajdowała pomiędzy swemi rówieśniczkami. Uśmiechaj się, jeżeli coś śmiesznego się zdarzy!“ Takie to rady udziela kalifornijski zarząd szkolny, kiedy zabiera głos w sposób urzędowy! Napada on ostro na jednostajność, która sądzi o sobie, że wprowadza do nauczania zasady demokratyczne, wówczas kiedy w rzeczywistości stwarza szablon, niwelujący różnice przyrodzone. „Zasady demokratyczne są w szkole zgubne i rujnujące. Społeczeństwo niechaj nie urąga przyrodzie twierdzeniem, że wszystkie dzieci są jednakowych uzdolnień i winny być chowane według tej samej modły. Każde maleństwo jest odrębną indywidualnością. Za tem też idzie, że jednostajne programy i jednostajne metody, skoro zostają zastosowane do licznej rzeszy dziecięcej, muszą być potępione, jako niemądre i niesprawiedliwe.“ Zasada więc została wyraźnie i jasno postawiona: szkoła nie powinna wszystkich uzdolnień tresować według tej samej modły. A przyjęta w teoryi podjęła odpowiednie próby w zakresie praktyki. W obecnej chwili właśnie amerykańskie władze szkolne borykają się z trudnościami, jakie wyrosły na drodze, torowanej przez zarządy edukacyjne. W Broklynie rozwiązano kwestyę w ten sposób, że wprowadzono do średnich zakładów system, nieco przypominający stosunki, jakie panują na wszechnicach niemieckich. Ażeby uczeń dostał patent z ukończenia zakładu, musi wysłuchać całego kursu i, rozumie się, zdać egzamin ze wszystkich obowiązujących przedmiotów. Wolno mu to wszakże czynić nie klasami, ale naukami: może znajdować się w niższej klasie co do pownego języka, a w wyższej matematycznej. Gdzie indziej zamiast promocyi rocznej wprowadzono kwartalną (w roku szkolnym liczą trzy kwartały), co umożliwia szybkie wysortowanie różnych uzdolnień — wobec tego, że zasadą szkoły jest poglądowość, uczeń do domu nie dostaje żadnej pracy, przedmioty zaś są związane z potrzebami życia. W stanie Massachusets malcy, wchodzący do szkółki, w ciągu paru pierwszych miesięcy są razem i naturalnie słuchają tego samego kursu. Ale skoro nauczyciel rozpozna zdolności swoich pupilów, zostają odpowiednio do tego podzieleni na dwie grupy, z których jedna kończy nauki w cztery, druga zaś w sześć lat. Stan Waszyngton, położony nad oceanem Spokojnym, poszedł jeszcze dalej, bo zamiast dwóch, wprowadził aż cztery szczeble uzdolnień i czasu nie ujął w żadne formułki biurokratyczne — grupa kończy kurs wtedy i otrzymuje patent, kiedy osiągnie go w sposób naturalny! Pamiętajmy jednak, że są to wszystko dopiero pierwsze próby na tem polu. Cokolwiek z biegiem czasu z nich wyjdzie, widoczną jest rzeczą, że zamorska rzeczpospolita nie hołduje i nie chce w szkolnictwie hołdować szablonowi fabrycznej jednostajności. Jeżeli za postęp uważa wkroczenie maszyny do sfery wytwarzania dóbr materyalnych, natomiast nie życzy sobie, ażeby podobna monotonność zapanowała w produkcyi dusz obywatelskich. Wyznaje ono tę prawdę, której zaprzeczać dalej jest niepodobieństwem, że uzdolnienia ludzkie są różne, i nie podciąga ich pod ten sam strychulec. Kogo przyroda hojniej uposażyła darami umysłu, ten niechaj rychlej rozwija tkwiące w nim zarodki i prędzej dochodzi do dojrzałości duchowej. „Droga dla talentów otwarta!“ — to hasło armii Napoleona III w całej swojej pełni zostało uznane w szkolnictwie amerykańskiem.

Oświata amerykańska ma jeszcze jedną zaletę. Może trafniej byłoby zasługę w tym kierunku położyć na karb samego społeczeństwa. U nas i wogóle w Europie patent z ukończenia szkół ma olbrzymie znaczenie, gdyż jest jakby paszportem, pozwalającym puścić się po drodze karyery. Kto nie posiada dyplomu, dla tego mnóstwo zawodów jest zamkniętych. Jankee zgoła inaczej zapatruje się na rzeczy. Dowód, że ktoś ukończył szkoły, jest dla niego przedewszystkiem przyjemnością, ale bardzo mało wpływa na życie praktyczne. Inżenierami dróg żelaznych bywają tam samouki, którzy nie uczęszczali do żadnej szkoły technicznej, lecz wyrobili się własną pracą; stanowiska urzędników zajmują osoby, któreby zdołały zaledwie wykazać się z ukończenia szkółki elementarnej. A że dyplom nie jest rzeczą niezbędną dla dobrego spełniania podjętych obowiązków, mamy mnóstwo w tym względzie dowodów za morzem. Dość wspomnieć Edisona. W naszej Europie wprost jest niemożliwością, ażeby łobuz uliczny zdołał wybić się tak, jak uczynił wynalazca amerykański. Takich zaś przykładów moglibyśmy przytoczyć sporo. Wobec tego dyplom utracił wszelką wartość w oczach praktycznego yankee i nikt, kto marzy o karyerze, nie będzie odbywał wieloletnich studyów, ażeby w rezultacie otrzymać bezużyteczny świstek papieru. Nauka zatem przestaje być drogą do robienia geszeftu i jest tem, czem być winna, mianowicie objaśnianiem uczniów o otaczającym ich świecie żywym i martwym. Okoliczność ta działa nader dodatnio i ze szkoły czyni przybytek, w którym wyrabiają się przyszli obywatele kraju. Kto nie chce się uczyć, ten opuszcza ławkę i szuka czegoś bardziej pociągającego, w murach zaś szkolnych pozostają tylko ci, którzy chcą się czegoś nauczyć i nad wiedzą siedzą dla uroku w niej zawartego. Rzuca się to w oczy nawet przelotnemu turyście, jeżeli zechce nieco wejrzeć w stan rzeczy. Słowem, uobywatelnienie celów szkolnych, zerwanie ze zdawkowym szablonem pseudo-demokratyzmu i złożenie nauczycielstwa w ręce entuzyastów — oto zasady zamorskiego szkolnictwa.

L. K.

LISTY Z PARYŻA.

W Algieryi. — „L'Italie d'hier“ (Wczorajsze Włochy) Edmunda i Juliusza Goncourtów.

Dwa lata temu w senacie francuskim namiestnik Algieryi, Tirman, mówił: „Zdobycie Kabylii zgubiło kraj. Należało spalić większość wsi, wyciąć drzewa. Ci, których podbiliśmy, zostali skazani na życie biedne i nieszczęśliwe i to przez długi przeciąg czasu.“

„Biedne i nieszczęśliwe.“ Ale tym podbitym nie wolno być biednymi, ani nieszczęśliwymi. Muszą, jak płyta stalowa, dźwigać ciężary i wagi bez ugięcia się. Mieć ciało miedziane i oczy nie napływające łzami. Podatki, powinności wojskowe, wynarodowianie się krzywdami, dokonywanemi w Algieryi w drodze prawnej. Oprócz tego członkowie zwycięzkiego narodu postępują z pokonanymi, jak im przypadnie do smaku. Więcej wart dla francuza pies lub wielbłąd, niż kilku arabów. Jeśli we Francyi dość być wojskowym, aby w lada sprzeczce zabiwszy człowieka, zostać uwolnionym przez członków sądu wojennego, cóż dopiero w Algieryi? Na pasterzach algierskich uczą się rekruci francuscy strzelania.

Rzadko tylko dochodzi odgłos bezprawi afrykańskich do Europy. Skarga musi przebyć puszcze i morza, walczyć z wiatrami. Mdleją skrzydła ptaszyny w długim locie. Usiadła na brzegu, ale tak znużona, tak onieśmielona gwarem, hałasem i wrogiem otoczeniem, że ledwie głosu dobywa. I nikt jej nie słyszy, zresztą gdyby słyszał? Sąd jastrzębi nie wyda wyroku na krogulca.

Kilka faktów, które przytaczam, zaczerpnąłem z artykułu pani Séverine: „En Algérie.“ Wśród dziennikarzy francuskich jest to niemal jedyna osoba, odczuwająca bóle i cierpienia, które przenikają duszę nie-francuza.

Więc najpierw stosunek wojowników do podbitych.

W r. 1872 generał Cerez przysięgą zapewnia dowódcom kabylów wolność. Składają broń. Wtedy rząd francuski stawia ich przed sądem przysięgłych i arabowie zostają skazani — jako przestępcy — na więzienie w twierdzy. Mija osiem lat, w r. 1880 zabłysnęła amnestya ogólna dla wszystkich więźniów politycznych; algierskich nie wypuszczono „ze względów administracyjnych.“ Znowu kilka lat inter-

nowani w Kanadzie odznaczają się podczas walki z tubylcami. Admirał Olry zaręcza im drugi raz, że wrócą do ojczyzny. Nie wrócili do dziś, a czemu? Oto dobra ich przeszły na własność sędziów. Teraz byłby kłopot z odbieraniem majątków rodakom. Więc niech przysięgi wietrzeją i jeńcy mrą na obczyźnie.

Administracya:

Urzędnik Sapor łupi poddanych, zabiera dobytek, katuje niesfornych. Robotników tubylców karze, wieszając ich na słońcu za palce. Kilku umarło, inni dostali obłąkania. Jeden młodzieniec siedemnastoletni uciekł, przepłynął morze Śródziemne i w redakcyi *Cri du peuple* pokazywał swe palce. Było to przed kilkunastu laty. Sprawę podniesiono wówczas, potem *La Bataille* wydobywa nowy zapas oburzających zbrodni Sapora; ledwie w 1894 r. postawiono łotra przed sąd i skazano — na pięć lat więzienia. Izba kasacyjna prawdopodobnie złagodzi wyrok.

A jaki jest stosunek kolonistów do tubylców i sprawiedliwość miejscowa?

Czternastoletniego chłopczynę z Blidah, Smailię Abdelkadera, pachciarz z Ben-Khelil Jan Abadie oskarża o kradzież pięciuset franków. Wraz z synami dostawia go do sądu, lecz tu dowody niewinności Abdelkadera okazują się tak niezbitymi, że naczelnik uwalnia podsądnego.

Oburzony tem Abadie chwyta Abdelkadera, wiąże mu ręce, sadza go na ziemię i wraz z bratankiem i sługą zaczyna obcęgami wyciągać ze stawów palce. Pod wrażeniem bólu dziecko przyznaje się do winy. Wymyka się jednak, lecz polowy wytropił je i zwrócił Abadiemu. Fermer przykuł chłopczynę łańcuchem do ściany, potem udał się po jego ojca. Wróciwszy, nie znalazł więźnia. Ponawia więc z ojcem tortury, wyciąganie palców itd. Abdelkader z łańcuchem na szyi dowlókł się do Blidah; jeden z krewnych udał się do sądu. Uwolniono nieszczęsnego ojca. Lecz wyrok rozstrzygający sprawę? Abadie i jego pomocnicy jednogłośnie uwolnieni...

Przed kilku tygodniami złożyli tubylcy algierscy w Izbie prośbę o nadanie im prawa głosowania powszechnego. Sądzą biedni, że kilku posłów zdoła ich ustrzedz od drapieżności mieszkańców. W każdym razie zdobycie prawa wyborczego może przynajmniej wywoła większe zajęcie się ziemią zdobytą. Oto wyjątek z prośby.

„Płacimy podatek od własności zabudowanej, taksy na psy i komorne, patenty i daninę od wina, opłacamy izby handlowe, prawo wpisu i stempli, placów i targów, wszystkie podatki departamentowe i gminne. Jak europejczycy, bierzemy udział w miarę naszych środków w podatkach bezpośrednich, w cle morskiem, opłacie pocztowej, telegraficznej, kolejowej, w ruchu handlowym i rolnym.

A oto ładunki ciążące na nas wyłącznie: zekkat od bydła, aszur od ziemi uprawnej, podatek od sadów, drzew palmowych, urządzeń mienia, od ślubów, obrzędów, świąt, obchodów rodzinnych. Opłacamy tłomaczów, utrzymujemy nasze szpitale i meczety. Od nas idzie pensya strażników miejskich, wiejskich, drogowych, leśnych; musimy darmo przyjmować podróżujących urzędników, począwszy od namiestnika a skończywszy na polowym.

Więc jakże może się nam powodzić? Czy jest położenie przykrzejsze, los bardziej godny opłakania? Jeśli chcecie naszej zguby, to zachowajcie nasz stan teraźniejszy. Wczoraj nędza srożyła się w prowincyi Konstantyny, dziś trawi Algier i Oran. Jutro będzie wszędzie i wszyscy zmienimy się wkrótce na trzodę wygłodzoną, którą będziecie musieli albo żywić, albo wytępić."

Jesienią 1855 r. dwaj młodzi ludzie, rozpoczynający karyerę literacką, mknęli ku Włochom szukać natchnienia do nowego utworu. Byli to bracia Goncourt.

Na granicy w Domodossola kupili duży zeszyt i w miarę posuwania się spisywali wrażenia i spostrzeżenia. Juliusz szkicami uzupełniał notatki.

Ten to zeszyt po czterdziestu latach starszy, pozostały z genialnej pary, Edmund, wydał i pod tytułem „Wczorajsze Włochy" oddał publiczności. Praca ta przedstawia się zbyt urywkowo, aby można mówić o niej jako o całości artystycznej. Posiada jednak dużą wartość i dla samego przedmiotu i więcej jeszcze jako dokument wartościowy do dziejów rozwoju literackiego dwóch pisarzów.

Jechali przez Medyolan, Brescię, Weronę, zatrzymali się w Wenecyi, jeszcze dłużej we Florencyi i Rzymie. Większość zapisek rzymskich zużytkowana została w powieści „Madame Gervaisais." O Neapolu czytamy niewiele. Zresztą podróż trwała krótko: rozpoczęta w listopadzie 1855 r., skończyła się w maju 1856.

Medyolan był jeszcze pod rządami austryackimi. Gdy w pewnym salonie podróżni rozpoczęli mówić o heraldycznem stanowisku salamandry, gospodyni woła z odrazą: Salamandra... wstrętne zwierzę... żółte i czarne... barwy austryackie.

W bibliotece ambrozyańskiej podróżni oglądają pęk włosów Lukrecyi Borgii, złocistych, wplecionych w niebieską wstęgę, zda się z odbłyskiem purpury, która oblekła księżniczkę.

Werona. Jarmark; pod białymi parasolami błyskają, niby chabry i maki, chustki kobiet sprzedających jarzyny. Twarze opalone, ta i owa okryta dużym kapeluszem, z pod niego wymykają się kosmyki siwych włosów i mieszają ze złotymi kolczykami w uszach. Opodal na schodach zrujnowanych pałaców leżą ćwiartki wołów, psy z najeżoną sierścią czatują na kości, stoją budy z zielonymi dzięciołami, przysmakiem miejscowym.

Florentyńskie notatki o muzeum Uffizi dają świetny zarys malarstwa włoskiego przed Rafaelem.

Piękna sylwetka Leopolda II, dobrodusznego księcia Toskanii. Tancerka Fuoco nie chce mu złożyć ceremonialnej wizyty. Chce mi dokuczyć, mówi „władca." Zobaczymy, kto komu ustąpi. I zamiast iść na jej występy, udaje się na widowisko ludowe Borgognissanti.

Z Rzymu znajdujemy szereg opisów wil i pałaców. Oto obraz *campo vaccino* dawnego *forum romanum*:

„Na złocistej podściółce kukurydzy stoją siwe woły z długimi rogami, żujące niespokojnie, za jeden róg uwiązane do ciężkiego wozu, pośród kur, które kobiety odpędzają kamieniami. Tak to *forum romanum*, jak zauważył już przed więcej niż stu laty szampańczyk Grosley, wróciło do stanu, w jakim je znalazł Eneasz, gdy przybył do Ewandra."

Żaden z pierwszych utworów Goncourtów nie zbliża się tak do ich powieści, dzieł rozkwitu twórczości. W „Historyi społeczeństwa francuskiego," w „Sztuce XVIII w." pisarze wpadają w napuszystość, razi nadmiar wykrzykników, zdań urywanych. Mało jędrności i wyrazistości. W „Germinii Lacertoux," „Rénée Mauperin" niezwykła trzeźwość, pełnia. Kilka stron zamyka nieraz rok życia. Cała powieść — dzieje żywota bohatera obejmuje mniej, niż 300 stronic.

Psychologia dwóch braci zasadniczo różna od Bourgetowskiej, Rodowskiej. Nawet powieść Maupassanta i Dostojewskiego nie da się zbliżyć do powieści Goncourtów. U pierwszych rozwałkowywanie jednego listka cyny, drudzy bez porównania treściwsi skupiają się około pewnej akcyi. Utwory Gończourtów — to strumienie całego życia. Strumyk wytryska w lesie, wije się przez łąkę wonną od macierzanki i tymianków, przepływa brudne sioło, zamula się piaskiem, znowu oczyszcza się, aż przebywszy szereg pól i gajów, tonie w rzece. Na powieść ich składają się działki życia. Kawały esencyonalne, każda z cząstką duszy, a gdy skończyła się, widzimy bieg bytu w jego najtreściwszych objawach. Wszędzie najskrzętniejsza obserwacya, nigdzie podstawiania siebie, jakby raport lekarza psychologa — genialnego.

Ta treściwość, to zatopienie się w obserwacyi stanowi najwybitniejszą cechę „Wczorajszych Włoch." Leży ona snać w temperamencie pisarzów, skoro z taką siłą przebija się w notatkach. Utwór inny, młodzieńcza fantazya: „Wenecya nocą," wydrukowana obok, niepodobna w niczem do nich. Podróżujący z dziwną siłą chwytają zarysy otaczających ich domów, ulic, widoków. Wszędzie niemal tylko obrazy. Barwa łamie się przy barwie, linia przy linii. W opisach galeryj malarskich zda się widzimy każdy rys. Prawie nie masz osobistych wrażeń, w każdym razie bardzo nieliczne. Bogactwa kolorów, szybkiego i pełnego ogarniania sceny dowodzą choćby przytoczone opisy jarmarku werońskiego i placu w Rzymie, rzucone pośpiesznie, ale z jaką siłą! Właściwości te uwydatnia potężnie opis jednego z zakątków Wenecyi.

„Niebo delikatnie błękitne, osrebrzone i bledniejące na widnokręgu. Na niem żagle galer, nadymające się pod powiewem wiatru, maszty strojne w chorągwie, sztandary, znaki o barwach jaskrawych. U podnóża wzgórka w gronie drzew skarłowaciałych, pałac wykładany marmurem zielonym i fioletowym, z bramą wtłoczoną w płaskorzeźby, przedstawiające amorków, igrających trofeami Marsa, a w górze mur ze strzelnicami, na którym zdaje się błyszczy półksiężyc mahometański, nad nim zaś stoi, jedną nogą na kuli, Apollon z bronzu zielonego, panując nad widokiem placu, gdzie domy różowe, zamykające małe ogrody o liściu czarnozielonym, strzelają w górę kominami, podobnymi do moździerzy."

W jedno zdanie włożonych kilka; jakby ścieśnione szeregi wojsk. Język charakterystyczny, zbogacony nowemi słowami, i tu spotykasz. Topole są „uliścione" (feuillos) ptactwem, pałac to „jajecznica kobiet i mężczyzn" itp.

Opisów przyrody mało. Są to badacze duszy miejskiej, wychowanej w kamiennej ulicy, pod spalonemi upałem drzewami skweru, co najwyżej znającej świeże powietrze przedmieścia. Ale przebłyski poezyi wyglądają z za kotar książki. Oto np. wspomnienie z Padwy.

„Śniadam w sławnej kawiarni, którą paduańczycy chlubią się — w kawiarni Pedrocchi. Obok mnie opat chudy i długi, jak dzień postny, pokrzepia się biszkopcikiem, moczonym w filiżance jak naparstek kawy, podczas gdy jakieś dziecko, podszedłszy ku mnie, mruczy coś i zbiera chciwie okruszki chleba na ziemi, przy mnie i w fałdach mego palta, aby je włożyć do ust. Nikt nic mu nie mówi, ani kelner nawet. Widok zwykły."

Padwa zostawiła we mnie wspomnienie miasta głodu."

W. Bugiel.

PAMIĘTNIK.

Lugdun-Lyon.


Czytelnicy gazet, mniej biegli w geografii, byli przez kilka dni zdziwieni, dlaczego jedne z nich miejsce zbrodni nazywają *Lugdunem*, a drugie *Lyonem*. Może nawet komuś nasunął się domysł, że zachodzi tu niepewność co do owego miejsca. Postaramy się wytłomaczyć tę zagadkę. Dzienniki nasze, które

w przeważnej liczbie nie przestrzegają ani czystości własnej mowy, ani cudzej, miewają od czasu do czasu dziwne napady. Będą one przez lat 10 lub 20 pisać stale, Monachium, Töplitz, Karlsbad itd. Nagle ni stąd, ni zowąd ogarnie je (zwykle trwająca parę tygodni) chętka odznaczenia się jakąś oryginalnością i wtedy zaczynają pisać Mnichów, Cieplice, Karolowe Wary itd. Tak również powstał Lugdun, skrócona nazwa łacińska Lyonu, używana w tych samych numerach owych dzienników, w których czytamy o *Zopot* (Sobota). Że ta mniemana oryginalność nie ma żadnego sensu, bardzo łatwo dowieść. Mianując Lyon — Lugdunem, należałoby również przechrzcić Rzym — na Romę, Paryż — na Lutetię, Francyę — na Gallię itd. I prasa może korzystać z zasady: „wolnoć Tomku w swoim domku.“ Ale jeżeli ona dba o korzyść umysłową swych czytelników, powinna unikać wszystkiego, co w ich głowach wytwarza zamęt. Człowiek ukształcony wie, ze Lugdun i Lyon — to jedno, ale czy podobna wymagać tej wiedzy od ludzi nieoświeconych, którzy również czytają pisma peryodyczne? Czy należałoby się dziwić a tem mniej szydzić, gdybyśmy usłyszeli, że oni pozostają w wątpliwości, gdzie właściwie Carnot poległ, że jedni upierają się przy Lugdunie a drudzy przy Lyonie? My niby dbamy o to, ażeby niższe warstwy naszego społeczeństwa korzystały z popularnych wydawnictw peryodycznych i dla osiągnięcia tego celu: przemawiamy do nich szumną frazeologią, w której nie mogą uchwycić treści, używamy *kruflików*, *stypulacyj*, *ententów cordialnych*, *attractionów* i innych wyrazów, których nieukształceni ludzie wcale nie rozumieją, przeinaczamy powszechnie używane nazwy miast, krajów itd. Wszystko to się dzieje dla dobra oświaty. Gdzie tu sens, gdzie logika, gdzie myśl poważna — daremnie by o to pytać.

Lato.

Po sześciu tygodniach deszczu i chłodu nareszcie lato rozpaliło mocno swój piec, który nas ogrzał dokuczliwym żarem. Na szczęście załatwiliśmy się przedtem ze wszystkiemi obradami, zgromadzeniami akcyonaryuszów i wyścigami. Gdyby kilkaset (przepraszam, jeśli biorę cyfrę za małą) komisyj i podkomisyj Towarzystwa popierania rusk. przem. i handlu musiało odpoczywać — chciałem rzec — pracować w takim skwarze, miałyby one wszelkie prawo oświadczyć w jesieni: „Panowie, w pocie czoła odroczyliśmy zbadanie tak ważnej sprawy, żaden z nas bowiem nie mógł wytrzymać ani minuty w korcie.“ Po recordzie cyklistów, regatach wioślarzów i powrocie p. R. z Antwerpii, właściwie już nie mamy żadnego "sensacyjnego“ wyścigu. Potrzebujemy tylko uspokoić się i opanować. Ostatnie bowiem tygodnie tak ciągle utrzymywały nas w atmosferze najrozmaitszych gonitw, że dotąd jeszcze idąc ulicą, nie możemy pozwolić, ażeby ktoś szedł przed nami i co chwila przyśpieszamy kroku, ażeby go prześcignąć. Uważni obserwatorowie naszego ruchu miejskiego mogli łatwo dostrzedz gromady ludzi, pędzących szerokiemi ulicami i zatrzymujących się nagle przy Zygmuncie lub Koperniku, jak gdyby u mety. Stanąwszy uświadamiali sobie, że urządzili między sobą bezwiedny *record*. Pomału wszakże — jak rzekliśmy — rozpęd ten uspokaja się. Czasem tylko jeszcze dwie dorożki, wiozące młodych paniczów, którym rubel wywołuje świerzbiączkę w kieszeni a dumę w oku, ścigają się między jednym stójkowym a drugim (którzy ochładzają te zapały). Zresztą życie zamiera a raczej przenosi się na wsie, gdzie wre całą pełnią. Objawiałoby się ono jeszcze mocniej, gdyby wszyscy gentlemani, tłoczący się po rozpalonych brukach lub smażący się na publicznych „patelniach,“ zechcieli wyjechać z Warszawy i pomódz rolnikom w zbieraniu koniczyny i siana. Byłoby to nawet dla nich bardzo korzystne, gdyż zarobiwszy przez kilka tygodni po pół rubla dziennie, mieliby co stawiać na jesieni w totalizatorze bez pomocy Icka i lombardu.

Nieporozumienie.

Pomiędzy mężczyznami i kobietami, pragnącymi oddziałać na siebie zmysłowo, zachodzi szczególne nieporozumienie. Tak np. mnóstwo samiczek żywi głębokie przekonanie, że samczykom nadzwyczaj podoba się: kibić tak ściśnięta, że gorset aż przygniata wątrobę, twarz tak tynkowana, jak ściana kamienicy, grzywka tak zwichrzona, jak kądziel, z którą młode psy się bawiły i pachnidło tak ostre, że w jego odorze słabsze organizmy giną. Tymczasem dość zbadać gust mężczyzn, ażeby się przekonać, że oni wcale tego nie lubią. Nadewszystko zaś rzadkością między nimi jest amator zabójczych wonności. Gdy idąc ulicą, czujemy nieraz nosem długą smugę paczuli lub piżma, którą za sobą zostawiła jakaś dama, albo gdy, mijając ją, doświadczymy nagle wrażenia, jakby nas ktoś uderzył maczugą w zmysł powonienia, pytamy zawsze, co tę nieszczęśliwą istotę skłania do takiego zapowietrzenia siebie. A jednakże ona niewątpliwie sądzi, że odurza przyjemnie mężczyzn. *Kuryer warszawski* donosi, że według pewnego pisma jeden z nich przy takiej sąsiadce zemdlał w tramwaju, inni zaś, ratując życie, powyskakiwali, jak z neapolitańskiej psiej groty. Owo pismo dołącza do tego wypadku następujące objaśnienie:

„Przeziew skóry u kobiet jest czasem z natury, a częściej w chorobliwym jej stanie tak cuchnący, że trzeba go jakąś ostrą perfumą przytłumić. Stąd jednak nie wynika, aby kobieta takich perfum używała. Jeżeli zaś z małpiarstwa używa, ściąga na siebie podejrzenie, że wspomnianą wadę posiada. Do tych ostrych perfum należą: piżmo, paczula, opoponaks, chippe, a nawet i lilas de Perse itp. Używając już tych perfum z konieczności, powinny kobiety o tem wiedzieć, że mężczyzna, według sprawdzeń fizyologicznych, ma zmysł powonienia pięć razy czulszy od kobiet, pięć razy więcej czuje zatem woń perfum, a jeżeli te należą do kategoryi wyżej wymienionych, to niech łaskawe panie wyobrażą sobie zaburzenia, jakie wtedy w nerwach brzydszej połowy ludzkości powstają. Prowadzą one czasem do mdłości, częściej budzą nudności, a prawie zawsze wstręt do osoby, otaczającej się taką atmosferą.“

Chodzące flakony piżma, paczuli i innych odorów powinny o tem wiedzieć a wtedy unikną omyłki we własnych rachubach i nam oszczędzą... zemdleń lub potrzeby wyskakiwania z tramwaju. Z tramwaju — to nie groźne, ja bym wyskoczył z balonu wzniesionego na 10,000 metrów, gdyby w nim znalazła się wypaczulowana dama. Uduszenie się tym odorem byłoby śmiercią straszną.

Artyzm kamieniczników.

Biedni ci gospodarze! Żeby to się znalazł bodaj jeden człowiek, coby im oddał sprawiedliwość i przyznał, że mają ogromne zasługi dla sztuki: toć oni stworzyli nowy osobny styl w budownictwie, który potomność nazwie pewnie cywilno-koszarowym. Pragnę więc przyczynić się do tego dzieła słuszności i spróbuję upamiętnić główne znamiona tego gustu. Oczywiście w pomiary dokładne i techniczne plany nie ma się co wdawać, gdyż są dla każdego domu identyczne i w dodatku każdemu światlemu mieszkańcowi Warszawy znane. Poprzestanę na wymienieniu tych cech, które wprawdzie także wpadają w oczy, ale bywają przemilczane, nie wiadomo, dla jakiego właściwie wybryku stronniczej względem kamieniczników zawiści, mimo że one właśnie są głównym tytułem ich do sławy.

Najpierw tedy: gruntem społecznym, znajdującym swą ekspresyę artystyczną w tym stylu, jest zacna chęć zbiorowa kapitalistów, ażeby zgnębić niekapitalistów, a jednak nie zarobić sobie na etykietę „lichwiarz.“ Taka synteza wielkiego poczucia godności osobistej z życzliwością dla wszystkich tych, co nie chcą obozować w polu lub na ulicach, głównie wychodzi na dobre ludziom skromnie uposażonym, zamieszkującym tak zwane oficyny. Bogatsi zajmują lokale frontowe, do których wchodzi się po stopniach marmurowych. Stopnie te podnoszą człowieka bardzo prędko na wyższe piętro, a jeszcze szybciej podnoszą komorne, bo o jakie 30—40%. Świat jednak łudzi się, że to dla czystości i elegancyi właściciel domu każe mu chodzić po marmurze i dywanowych chodnikach. Niech ten świat raczy na krótko pomieszkać na schodach bocznych, a zobaczy co następuje.

Co parę stopni widnieją ślady nadzwyczajnej humanitarności względem psów i kotów i wogóle troskliwej a skutecznej hodowli ich gatunku.

Przynajmniej jeden bok czworoboku, okalającego dziedziniec, musi napawać się woniami ustępu. Twórca bowiem nowego stylu nic sobie nie robi z tego, że nastały czasy kanalizacyi i uprawia smród i brud w podwórzowych rynsztokach, że na chwilę okien otworzyć nie można. Proszę jeno pofatygować się do jednego z domów w okolicach Kruczej, (gdzie niżej podpisany miał honor i nieszczęście mieszkać), a ujrzy rzeczy, żywo przypominające Warszawę z przed lat piętnastu. Dzięki nim co parę tygodni goszczą przez czas trzech — czterech dni wiadome złej sławy aparaty, które swą natarczywą a wymowną obecnością mogą przyprawić i regularnie przyprawiają o rozpacz. O tem wszystkiem ciekawy może się przekonać w pomienionym domu.

W pośrodku dziedzińca winien się wedle wymagań stylu, znajdować ogródek. Jakoż nie brak go w istocie. Składa się z jednego uschłego przed dojściem do pełnoletności kasztana i niedoszłej trawy, której kazano rosnąć na niedostatecznie zgnojonych śmieciach. Jest to zarazem wyborna tarcza przeciw podejrzeniom władz, że w domu może być nieczystość, boć przecież nie tolerowałby jej gospodarz, który zakłada ogródek! Łapią się nań zresztą i sami poszukujący mieszkań, na mocy pewnika: *mundus vult decipi* etc.

Tyle dla oczów i nosa. Nie zapomniano jednak o słuchu. Od godziny 8—9 rano do 11-ej w nocy wolno mieszkańcom frontowym trzepać dywany i meble i wogóle tak burmistrzować w domu, jak gdyby „oficyniarze“ byli bydłem, nie mającem nosów ani uszów, pozbawionem prawa do spokoju i snu. Co to obchodzi gospodarza, skoro on wraz z bogatymi lokatorami ma okna od ulicy, a nerwy tak tępe i grube, że wogóle nic nie słyszy, prócz dyktanda własnego geszeftu? Ci bogatsi codzień wydają baliki i rauty, codzień więc zgraja sługusów płci obojga urządza sobie sport trzepaczkowy i nawet w niedziele i święta potroszę go uprawia na balkonach.

No ale na jeden raz dosyć. W następnym „Pamiętniku“ dam czytelnikom ciąg dalszy charakterystyki. Może to, że ona dłużej będzie czerniała na łamach pisma, przypomni szanownym twórcom stylu, że nawet na nich znaleźć się może bicz. *N.*

Druid skamieniały.

Malarstwo nasze goni dziś za oryginalnością — i to coś warte. Ostatecznie bowiem wszystkie wybryki artystyczne ostatnich lat sprowadzają się do małej garstki, którą dokoła opływa morze pospolitości i miernoty, a w kierunku unikania jej uczyniono tak mało, że każdy wysiłek,

choćby niezupełnie pomyślny, daje człekowi chwilowy odpoczynek po zabójczej monotonii. Można to zastosować w zupełności do dużego płótna p. Wyczółkowskiego p. n. „Druid skamieniały,“ które wystawił w salonie Krywulta. To naprawdę odpoczynek zarówno w dobrem jak i złem znaczeniu wyrazu, po pierwsze bowiem pomysł należy do prawdziwie niezwykłych, a powtóre nie wprawia nerwów naszych w zbyt ożywioną grę, czyli że zostawia zupełnie spokojnymi. Od tła rozległego, jak step i nagiego krajobrazu odstaje potężna postać galskiego kapłana, który na poły leżąc, napoły siedząc trzyma na kolanach lutnię i patrzy przed siebie poważnie i wspaniale. U nóg jego płaszczyzna obniża się i tworzy małe zbocze, nad którem biegnie ścieżynka w ten sposób, że przecina nawet lędźwie. Jest to więc stary głaz, tak stary, że go zewsząd porosły mchy i liszaje jak i odłamy sąsiadujących z nim skał, że przez twarde ciało jego wydeptano drożynę. Odwieczność jego i powaga tym sposobem oddane zostały wybornie i niewątpliwie pewien szacunek budzi się dlań w widzu. Powiedziałbym nawet, że sam ten motyw i nastrój poetycznej i świątobliwej starożytności, w którym nadto historya jakgdyby zlała się z przyrodą i w nią wsiąknęła — posiada dużo uroku i poezyi, aczkolwiek chłodnej i całkiem spokojnej. Nie widzę zaś zgoła potrzeby doszukiwania się innych jeszcze uczuć i głębszej treści. To, na co patrzymy prostem, nieuprzedzonem okiem, jest rzeczą ładną, świetne techniką, gdyż tęczowa polychromia głazu, polerowanego jak szkło, uderza prawdą i zarazem wydobywa maximum możliwego w takim wypadku kolorystycznego życia. Ale gdy nam każą widzieć w tym utworze zagadkę lub alegoryę — przyznajemy, że ów pierwszy, zasadniczy nastrój zamierzchłych pogańskich i pięknych dziejów znika. Miałażby tu w rzeczy samej tkwić jakaś historyozoficzna mądrość, albo wielce złożona elegia? Czy chciał malarz naprawdę dać nam do rozwiązania zagadkę lub szaradę malowaną, czy też po prostu pomawiają go o to usłużni przyjaciele i recenzenci, którym się może zdawać, że z tego druida uda się zrobić drugiego Mojżesza Michała Anioła? U nas nie jest zjawiskiem rzadkiem, że się autorowi przypisuje badanie gwiazd, gdy on poprostu puszcza kółka z dymu tytuniowego, zapatrzony w górę. Poniekąd wszakże p. Wyczółkowski upoważnia ich do stukania palcem w czoło i wydobywania stamtąd głębokich i znaczących objaśnień, gdyż swego druida uczynił dosyć zagadkowym co do pochodzenia. Każdy wobec niego musi sobie zadać pytanie: czy to prastara rzeźba? — lecz w takim razie co ma oznaczać przymiotnik „skamieniały,“ boć chyba nie zrobiono jej z drzewa. Czy to prawdziwy człowiek, obrócony w kamień? Takich ludzi i takich cudów nie było po za naiwną wyobraźnią ludu, tu zaś żaden rys nie poucza, że mamy na obraz patrzyć oczami dawnego celta. Wreszcie — czy to wybryk przyrody, której zachciało się naśladować druida? I tak nie, albowiem rysunek jego głowy, torsu, rąk wyziera z pod mchów i pieśni zbyt kunsztownie i odrazu zdradza rodowód artystyczny a nie naturalny. Cóż to więc wszystko znaczy? Nie dociekajmy — bo nie dociekczemy, i powiedzmy autorowi na wypadek, gdyby istotnie było w jego zamiarze coś poetycko-filozoficznego w tym temacie czysto pejzażowym powiedzieć, że mu ten zamiar nie udał się nic a nic, że płótno niewątpliwie oryginalne ani na chwilę w widzu szczerym i prawdomównym obiegu krwi nie przyśpiesza: jest bardzo mądre i — bardzo zimne. *J.*

Szpitale dla ubogich.

Pisma codzienne doniosły o projekcie założenia w Warszawie szpitala, w którym mają znaleźć przytułek ludzie ubodzy. Nie wiemy, jak daleo ta myśl blizka urzeczywistnienia; to tylko pewna, że zakład taki jest potrzebą ważną i pilną. Miasto nasze wogóle w stosunku do ludności posiada za mało szpitalów; znane bowiem są wędrówki chorych i odprawianie ich z niczem przez służbę od wrót tych przybytków opieki zdrowotnej. Znane również bywają wypadki przedwczesnego „wypisywania“ rekonwalescentów, którzy skutkiem przyspieszonego opuszczenia łoża dostają niebezpiecznej recydywy. Wreszcie niemało jest kłopotu ze ściąganiem od ubogich należności za kuracyę. Jeżeli mamy próby lecznic bezpłatnych dla przychodzących chorych, jeżeli troszczymy się o przytułek dla kalek i wogóle ludzi zniedołężniałych, to tem bardziej powinniśmy się szczerze wziąć do stworzenia powyższego szpitala. Gdy bowiem kaleka i niedołęga jest ciężarem dla rodziny, ubogi chory — częstokroć jej głową, po której stracie nędza spada na dzieci i kobiety. Chory, którego pomoc lekarska mogłaby uratować w szpitalu, nieraz pozbawiony ratunku, umiera w domu. To samo się dzieje z rekonwalescentami, przedwcześnie wypuszczonymi. Otóż szpital bezpłatny, obszerny, wygodny, wybudowany według najnowszych wymagań hygieny, z oddziałem dla rekonwalescentów, mógłby w znacznej mierze zaradzić tym brakom dotkliwym. Zwolennicy karnawałów letnich i zimowych, którzy swoją cześć, pochodzącą z rozbawienia, starają się przytłumić celami filantropijnymi, powinni przez nogi, ręce i gardła wziąć głęboko do serca tę sprawę. *P.*

Telefony.

Mając nadzwyczaj mało czasu i niezmiernie ważny interes w odległym punkcie miasta, wpadłem do przedsiębiorcy X. z prośbą, ażeby mi udzielił na chwilkę telefonu — Widzi pan, mam tu w biurze urzędników, którym dzwonienie i rozmowa może przeszkodzić, będą mi zalegać w robocie; dość, że w interesach swego obowiązku muszą oni często porzucać księgę rachunkową dla telefonu. Zresztą nie zawsze mogę obcym interesantom robić tę dogodność, bo by mię zamęczyli. Tym razem jednak panu usłużę, dodał, gdy się zabierałem do wyjścia, nie mając czasu na słuchanie długiego tłomaczenia się. Drugim razem wszedłem do sklepu w tym samym interesie. — Proszę, niech pan telefonuje. — Skorzystałem z uprzejmości i pięknie podziękowawszy, wychodzę. — Należy się pięć kopiejek za telefon! — zawołał za mną gospodarz.—Genialna myśl!— rzekłem mu na to; teraz nie będę się krępował żadną drażliwością. Istotnie, nie chcąc zbyt często nadużywać grzeczności uprzejmych właścicieli sklepów, nieraz musiałem posługiwać się tramwajem, tracić na jazdę 14 kop. i 1—2 godziny, nie zastawszy zaś osoby poszukiwanej, jechać powtórnie. Wobec tego jestem przekonany, że ci wszyscy mieszkańcy Warszawy, którzy nie mogą się zdobyć na własny telefon, a muszą się liczyć z groszem i czasem, chętnie przyjęliby zwyczaj pobierania 5 kop. za udogodnienie, uczynione przez właścicieli sklepów. Rzecz dziwna! Dziś, gdy miasta prowincyonalne, kipiące mniejszą gorączką pracy, niż nasze wielkie środowisko życia, wprowadziły u siebie telefony o $^2/_3$ tańsze w stosunku do tutejszych, przeciętny obywatel m. Warszawy, nawet średnio zamożny, nieraz tylko marzy o tem udogodnieniu niezbędnem. Pocieszajmy się tem, że może kiedyś przedsiębiorcy telefonowi przyjdą do przekonania, iż zniżenie ceny abonamentowej do tego stopnia, ażeby najszerszy ogół mógł korzystać, będzie dla nich interesem świetnym, że wreszcie urządzenie stacyj w różnych punktach miasta dla ludności niezamożnej, dopuszczonej do telefonów za opłatą, nie przewyższającą taksy posłańców, opłaciłoby się również. Pomyślcie nad tem, panowie przedsiębiorcy, i wniknijcie w potrzeby społeczeństwa! *Zn.*



Z DZIEDZINY WIELKICH I DROBNYCH KAPITAŁÓW.

Zanim rozpatrzymy bliżej nową ustawę Banku państwa z chwilą wejścia jej w życie, musimy zaznaczyć sam fakt reformy i jej zarysy główne. W tych dniach rada państwa jednogłośnie zatwierdziła owe przepisy. Termin zaś i porządek zastosowania w praktyce zależy od ministra skarbu. Ważną jest ta okoliczność, że rada będzie rozpatrywać roczne sprawozdania instytucyi w celu sprawdzenia, czy działalność Banku odpowiada ogólnym potrzebom i zadaniom. Kapitał zakładowy ma być podniesiony do 50 milionów rubli. Dla zwiększenia zaś jego należy dodawać aż do otrzymania powyższej normy 10% czystych zysków, następne 5% czystych dochodów trzeba dołączyć do kapitału zapasowego; reszta zysków Banku idzie na rzecz skarbu państwa z potrąceniem jeszcze 10% dla pracowników instytucyi, stosowie do uznania ministra. Główne operacye Banku są następujące: 1) dyskonto weksli i innych zobowiązań terminowych, 2) wydawanie pożyczek, otwieranie kredytu, 3) przyjmowanie wkładów, 4) nabywanie i sprzedaż weksli tudzież innych dowodów wartościowych. Weksle i inne zobowiązania kredytowe mogą być dyskontowane tylko w takich wypadkach, jeżeli są wydane na termin najwyżej roczny; małe rozmiary sumy nie stoją na przeszkodzie tej operacyi. Wydawanie pożyczek i otwieranie kredytu można uskuteczniać na sola-weksle, gwarantowane przez zastaw nieruchomości, inwentarza rolnego lub fabrycznego, przez poręczenie itd. Owe usługi Banku stworzono po to, iżby ułatwić zdobycie kapitału obrotowego i niezbędnych środków produkcyi rolnikom, założycielom przedsiębiorstw przemysłowych, rzemieślnikom, drobnym kupcom i przemysłowcom. Interesowani ostatnich trzech kategoryi mogą otrzymywać zasiłki i kredyt na sola-weksle i bez zabezpieczenia, ale tylko do wysokości 300 rs. Inwentarz, osiągnięty przy pomocy Banku państwa, powinien być *wyrobu krajowego*; lecz rada państwa ma prawo uwzględniać wypadki wyjątkowe za zgodą ministra skarbu. Zasiłek dla jednego przedsiębiorstwa przemysłowego nie może przekraczać 500,000 rs., dla kupca zaś drobnego — 600 rs. Bank wydaje pożyczki pod towary, niepodlegające szybkiemu zepsuciu (do 80% wartości) wreszcie pod zastaw dowodów towarowych. Nadto pod papiery wartościowe (państwowe, gwarantowane przez rząd i niektóre prywatne — te ostatnie w stosunku 78% ich wartości), na termin do sześciu miesięcy na specyalne bieżące rachunki dla miast i instytucyi ziemskich. Po za tem wszystkiem Bank ma prawo wydawać zasiłki za pośrednictwem ziemstw, kolei żelaznych, prywatnych instytucyi kredytowych, towarzystw na wzajemności opartych, arteli i osób pojedynczych dla drobnych rolników, dzierżawców, włościan, małych przedsiębiorców i rzemieślników, przy czem pośrednicy biorą na siebie odpowiedzialność za sumy powyższe, oparte na ich gwarancyi.

Jak widzimy, według nowej ustawy, Bank państwa ogromnie rozszerza zakres swych działań, których myślą przewodnią

jest pomoc wszelkiego rodzaju wytwórcom, przedsiębiorcom i kupcom. Między innymi spostrzegamy tutaj dzierżawców, którzy, pomimo, że stanowią olbrzymi procent rolników, pracujących samodzielnie, nie mieli dotąd, oprócz lichwiarskiej, żadnej pomocy kredytowej. (O tej warstwie pracowników i ich potrzebach będziemy wkrótce mieli sposobność pomówić oddzielnie).

Odkładając na później uwagi nad nową formą pomocy kredytowej i jej rezultatami w przyszłości, przejdźmy do innej dziedziny, która w obecnej chwili wysuwa się na porządek dzienny, również jako rozgałęzienie działalności Banku powyższego. Otwiera on swoje kasy oszczędności, zamiast takichże kas miejskich i groszowych, zakładanych przez stowarzyszenia dobroczynne. Ruch ten w zakresie uproszczenia i rozwoju ognisk oszczędności drobnych, daje się już od lat kilku wyraźnie spostrzegać; w ostatnich zaś czasach dość silnie się zaznaczył. Pierwsze dwie kasy oszczędności powstały w Petersburgu i Moskwie r. 1841 przy kasach depozytowych, później przy radach gubernialnych dobroczynności publicznej. R. 1862 przywilej zakładania owych kas otrzymały rady miejskie, nie zaznaczyły wszakże śladów nietylko działalności, ale nawet dobrych chęci w tej mierze, więc ministeryum skarbu, oddawszy kasy petersburską i moskiewską pod zarząd Banku państwa, wzięło się do zakładania takich kas przy filiach bankowych (od r. 1864), potem zaś, od r. 1884, przy kasach gubernialnych i powiatowych. Od r. 1889 rozpoczyna się nowy ruch — zakładanie kas przy urzędach pocztowo-telegraficznych. Parę cyfr przekona nas, że rozwój tych drobnych ognisk oszczędności zaznacza się dość szybko: R. 1881 istniały tylko 174 kasy z kapitałem obejmującym i procenty, w sumie 9,054,648 rs.; roku 1893 było już 2,439 kas z kapitałem 250,520,815 rs. W Królestwie Polskiem możemy naliczyć mnóstwo kas, których zadaniem jest przyjmowanie drobnych wkładów. R. 1827 powstało w Warszawie Towarzystwo oszczędności; ale jego krótkie istnienie nie tworzy okresu powstawania nowych instytucyi. Dopiero od r. 1844, tj. od chwili założenia kasy oszczędności w Warszawie pod zarządem generalnej dyrekcyi ubezpieczeń, wyraźniej się zaznacza pewna ciągłość ruchu w tej mierze. Między r. 1844 a 1862 powstał szereg takich kas w następującym porządku chronologicznym: w Płocku, Radomiu, Lublinie, Suwałkach, Łodzi, Kaliszu, Częstochowie, Włocławku, Hrubieszowie, Łęczycy, Białej, Siedlcach, Piotrkowie, Kielcach, Łomży, Mławie i Sandomierzu. Po zwinięciu dyrekcyi ubezpieczeń, zarząd tych kas (na mocy rozporządzenia z 12 maja 1870 r.) oddano magistratom pod zwierzchnictwem ministra skarbu. Jedna z nich, przy magistracie warszawskim, która wkrótce ma być zlikwidowana i włączona do podobnej kasy Banku państwa, posiada (według danych z marca r. b.) 43,630 uczestników z sumą 1,996,545 rs. Tego rodzaju kasy płacą 4% i przyjmują minimum wkładów 15 kop., maximum — 300 rs.

Oprócz powyższych, od r. 1861 powstały w Warszawie pod opieką Towarzystwa dobroczynności kasy groszowe, które mogą u siebie trzymać wkład od pojedyńczej osoby tylko do 15 kop., poczem przelewają je do kasy miejskiej. W r. 1891 kas takich było 12, z 1504 rs. oszczędności. (Towarzystwo nadto posiada w depozytach rs. 498 z kas oszczędności w ochronach z lat dawnych i rs. 7,337 z kas oszczędności od r. 1887). Dodajmy jeszcze gminne kasy pożyczkowo-wkładowe, utworzone 8 maja 1868 r. ze 166,560 rs., wziętych z funduszu użyteczności publicznej Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Mają one przedewszystkiem na celu kredyt dla rolników, przy tem przyjmują oszczędności od mieszkańców danego powiatu (od rs. 1) i płacą uczestnikom 6%.

Osobną grupę stanowią prowincyonalne stowarzyszenia współdzielcze. W ostatnich czasach wzrost ich wielce się zaznaczył, powstały bowiem w dwudziestu kilku miastach Królestwa nowe takie instytucye. Przez cały czas ich istnienia po dzień 31 grudnia 1892 r. zgromadzono rs. 13,639.000 z drobnych oszczędności; udzielono zaś pożyczek rs. 11,880,000. Stały wzrost liczby uczestników, a więc i kapitałów tudzież operacyi, jest bodźcem dla innych i oto dwanaście miast prowincyonalnych czyni starania o założenie stowarzyszeń współdzielczych: Zawiercie, Częstochowa, Podzamcze, Zamość, Włocławek, Płock, Piotrków, Miechow, Bendzin, Nowo-Mińsk, Opoczno, Suwałki. Uzyskały już zatwierdzenie Kalisz i Wieluń, a Radom i Łomża, pomimo że posiadają takie instytucye, czynią zabiegi o dwie nowe. P. Nikodem Krakowski, żarliwy szerzyciel idei oszczędności, w niedawno wydanej książce (*Kredyt ludowy*) przepowiada wielkie powodzenie tym instytucyom, a wróżby swoje opiera na następującym szeregu faktów: Ministeryum skarbu już przed kilku laty zatwierdziło ustawę normalną dla kas współdzielczych i zapewniło im nawet kredyt Banku państwa. Władze wydały liczne rozporządzenia prawodawcze i administracyjne, zmierzające do zwalczenia lichwy; „a cóż skuteczniej lichwę wyrugować może, jeśli nie wielka liczba stowarzyszeń współdzielczych?“ (?) Zwrócono baczną uwagę na groźną dla celów państwowych germanizacyę przemysłu polskiego na kresach; „a cóż skuteczniej zwalczyć może pruską inwazyę, jeśli nie rozwój sił miejscowych przy pomocy ułatwionego kredytu drobnego i średniego?“ Obecna nowa ustawa Banku państwa obejmuje również środki, zmierzające do rozwoju drobnego i średniego handlu tudzież przemysłu przy pomocy stowarzyszeń współdzielczych. Ministeryum gorliwie się zajmuje krzewieniem idei oszczędności, nie tylko przy pomocy kas bankowych, pocztowych ale także za pośrednictwem angielskiego systemu markowego. W tym duchu działają właśnie i stowarzyszenia współdzielcze.

Oczywiście ruch powyższy podkreślić należy, ale nie ze względu na urzeczywistnianie się idei Schutze-Delitsch'owskich, w których wielu ich wyznawców upatruje jedyną dźwignię ekonomiczną ludności. Zaznaczamy wogóle pod powyższemi postaciami rozwój kredytu, który wzrasta w społeczeństwie i z czasem może być pomocą do wytworzenia większej samodzielności pracy śród ogółu, do otrząśnięcia się z lęku, który nas ogarnia, gdy pomyślimy o jakimś kroku, prowadzącym nie na posadkę, lecz do przedsięwzięcia, dającego większą sumę zysków materyalnych i zadowolenia moralnego. Uprzystępnienie kredytu Banku państwa, rozpływ jego za pośrednictwem licznych arteryi i tętnic państwowych i prywatnych, to jest doniosłe zjawisko chwili bieżącej, nad którem nie można przejść do porządku dziennego.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

— Bank handlowy otwiera swoją filię w Sosnowcu.

— Na liniach kolejowych w całem państwie zaprojektowano budowę 307 magazynów zbożowych, mogących pomieścić 80,000,000 pudów zboża.

— W Antwerpii utworzyło się akcyjne Towarzystwo dla kupna i sprzedaży cukru pod nazwą: „Société pour l'exportation des sucres.“

— Obywatele gub. Liflandzkiej czynią starania o założenie kilku włościańskich towarzystw rolniczych.

— W dniu 13-m października ma być otwarta w Petersburgu giełda zbożowa, której projekt i przepisy Rada państwa już zatwierdziła.

— W gub. kijowskiej coraz większe przestrzenie gruntu są zajmowane pod uprawę buraków. W r. z. plantacye te zajmowały 79,681 dziesięcin ziemi ornej, a w połowie maja r. b., gdy zasiewy nie były jeszcze ukończone, przestrzeń ta wzrosła do 82,847 dziesięcin. Gubernia kijowska zajmuje pod względem ilości gruntów, zajętych pod buraki, pierwsze miejsce. Po niej następują: gub. podolska (64,586 dzies.) charkowska (35,927), kurska (30,198), wołyńska (16,533), czernihowska (10,530) i półtawska (2,377).

— Bank państwa w dopełnieniu przepisów o wydawaniu zaliczeń na zboże i inne produkty rolne, ogłoszonych w dniu 15 b. m., podaje do wiadomości publicznej, iż z decyzyi ministra skarbu zaliczenia te będą wydawane na wszelkie gatunki ziarn zbożowych, groch, nasiona oleiste i len, przyczem Bank państwa, oraz jego kantory i oddziały pobierać będą: od zaliczeń wydawanych bezpośrednio z Banku państwa i jego instytucyj 4½%, od kredytów zaś otwieranych dla wydawania zaliczeń pośrednikom 3½%.

— Rada państwa zatwierdziła projekt ministeryum spraw wewnętrznych, dotyczący dozoru działalności towarzystw ubezpieczeń. W tym celu wkrótce powstanie przy departamencie gospodarskim pomienionego ministeryum komitet ubezpieczeń, a od zbliżającego się półrocza wszystkie towarzystwa ubezpieczeń będą opłacały pewien procent od swych premij.



Sprawy społeczne. Ażeby zapewnić odpoczynek oficyalistom kolejowym, jak donoszą *Peterb. Wied.*, będzie wstrzymywane w niedziele i święta wyładowywanie i wydawanie towarów.

— Warszawskie Towarzystwo lekarskie ogłosiło do nagród konkursowych z funduszu, zapisanego przez d-ra Walentego Koczorowskiego, 18 nowych tematów, oraz ponowiło dwa z r. z. Obok specyalnie lekarskich, znajdują się też między nimi mające ogólniejsze znaczenie, jak: Grunt warszawski pod względem bakteryologicznym. Historya szkół lekarskich w Polsce w ciągu ostatniego wieku. Wykaz wszystkich prac lekarskich polskich, ogłoszonych drukiem od 1830 do 1890 roku. Zbadać na zasadzie spostrzeżeń własnych rozwój mowy u dziecka i wykazać stosunek tego rozwoju do rozwoju inteligencyi u dziecka. Opracować źródłowo historyę jednego z większych szpitali od czasu założenia aż do chwili bieżącej. Badania z dziedziny antropologii krajowej, oparte na poszukiwaniach anatomicznych, fizyologicznych, oraz na zestawieniach statystycznych. Jakość i ilość bakteryj chorobotwórczych i nieszkodliwych w wodzie wiślanej. Termin składania rozpraw 31 marca 1895 r. Nagród pięć po 300 rubli, druk pracy nakładem Towarzystwa i 300 jej egzemplarzy dla autora.

Szkoły. Ministeryum oświaty deleguje kuratora moskiewskiego, hr. Kapmita, do Niemiec, dla zbadania organizacyi średnich zakładów naukowych.

— Do uniwersytetu krakowskiego 49 kobiet złożyło podanie o dopuszczenie ich do słuchania wykładów; kilka z nich chce się zapisać na wykłady lekarskie; reszta zaś na wydział filozoficzny.

Kanalizacya. Na ostatniem posiedzeniu komisyi technicznej, W. H. Lindley złożył plan 5-ej seryi robót kanalizacyjnych i wodociągowych, która będzie rozpoczęta po ukończeniu 4-ej w r. 1896. Serya piąta obejmuje kanały na Powiślu, ulice łączące dolne miasto z górnem, oraz trzy kolektory na Pradze. Koszt obliczono na 2,400,000 rubli. Z robót wodociągowych serya ta obejmuje prace na stacyi filtrów, budowę trzeciego smoka, różnych budynków na stacyi pomp, filtrów itp., koszty ich mają wynieść 5,200,000 rubli, a łącznie z budowlami i innemi wydatkami 8,000,000 rubli. Według innego planu robót najniezbędniejszych kwotę tę można zredukować do 6,000,000 rubli.

Komunikacye. Na bliskich ukończenia drogach żelaznych nowosielickich odbyło się otwarcie tunelu długości 75 sążni, na dystansie Floренty—Rybnica.

— W celu podniesienia zmniejszających się obrotów handlowych Petersburga, przedstawiciele miasta starają się o połączenie go koleją z drogą żelazną syberyjską przez Rybińsk, Wołogdę, Wiatkę i Perm.

Zjazdy. W Londynie odbędzie się w r. b. międzynarodowy kongres kolejowy.

— W Bernie w Szwajcaryi w połowie przyszłego miesiąca ma się odbyć kongres międzynarodowy towarzystw opieki nad zwierzętami.

Zdrowie publiczne. Jak donosi *Prawit. Wiest.*, rada departamentu lekarskiego opracowała przepisy przeciw przedostaniu się do granic państwa dżumy, która zjawiła się w Chinach.

— Dyrektor kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wydał rozporządzenie, aby na stacyi Aleksandrów otwarto barak dla cholerycznych.

— Urzędownie ogłoszono, że w Kronsztadzie wybuchła cholera.

— Jak donosi *Prawit. Wiestn.*, gubernię kielecką uznano za niebezpieczną, jako dotkniętą epidemią cholery azyatyckiej.

Burza gradowa przeciągnęła niedawno nad Radomiem i okolicą, sprawiwszy znaczne szkody w polach i ogrodach.

Wynalazki. Dr. Ożezowski z Ostrowa w W. Ks. Poznańskiem zbudował balon ze sterem, który ma rozwiązywać zadanie żeglugi powietrznej.



Panu L. K. Wiersz jest w formie swojej ładny, ale w treści niejasny.

K. K. „Rozm.“ jest zbyt pretensyonalną. Drugi wierszyk śliczny, ale dla naszego pisma treścią swoją niedpowiedni.

B. K. Nie możemy ocenić tego drobiazgu, gdyż go nie rozumiemy.

Panu I. M. w G. Przy udzielaniu tego rodzaju rady tyle trzebaby wiedzieć o umyśle siostry Pańskiej i tyle napisać wskazówek, że to przekracza granice najobszerniejszej odpowiedzi redakcyjnej. Trudne zadanie kierowania dalszem kształceniem młodej kobiety powinien Pan powierzyć komuś życzliwemu i kompetentnemu, który by je rozłożył na czas dłuższy. Zresztą list zakomunikowaliśmy p. K.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Іюня 1894 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.